Wpisano do kontroli periodyków
Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
do 30.IV 19 47 r.

W numerze: Ankieta „Kuźnicy": „Jakich dziesięć książek należy wydać najszybciej?" (Głosy Czytelników)

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 30 kwietnia 1947 r. Nr 17 (86)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Niemasz poezji wzorowej. Jest szkoła, ale dla krytyków nie dla poetów, dla miłośników sztuki nie dla sztukmistrzów, dla czytelników — nie dla pisarzy.

Maurycy Mochnacki

TREŚĆ NUMERU:

BRONISŁAW KRAUZE — **RODOWÓD SCHUHMACHERA**

Z PRASY AUSTRIACKIEJ ZABÓJSTWO KAROLA LIEB. KNECHTA I RÓŻY LUKSEMBURG

MIECZYSŁAW JASTRUN — **O MŁODZIEŻY POETYCKIEJ**

JERZY ZAGÓRSKI — **WIERSZE**

ANKIETA KUŹNICY **JAKICH DZIESIĘĆ KSIĄŻEK Z LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ NALEŻY WYDAĆ NAJSZYBCIEJ?**

JULIEN BENDA — **FRANCJA BIZANTYŃSKA**

ADAM BROMBERG — **O SZKOLNĄ KAMPANIĘ WYDAWNICZĄ**

ANTONI BOHDZIEWICZ — **FILMOWE PLANY I SNY**

B. MOSIĘŻNIK — **NA OCZACH ŚWIATA**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

BRONISŁAW KRAUZE

RODOWÓD SCHUHMACHERA

w tekście rysunki G. Grosza *)

JAK WIADOMO, wielkie kryzysy dziejowe są zwłaszcza dla ruchu robotniczego nieubłaganą próbą zarówno w sferze ideologii, jak i organizacji. W ogniu tej próby ujawnia się prawdziwe oblicze partyj robotniczych, faktyczna jedność ich słów i czynów, zewnętrznej powłoki i rzeczywistej treści.

Do wielkich prób dziejowych, które przeżył ruch robotniczy w XX w., należy niewątpliwie wojna światowa 1914—1918 r. Postawiła ona partie socjalistyczne wobec zagadnienia: albo iść naprzód i, zgodnie z manifestem Międzynarodowego Kongresu Socjalistów w Bazylei (r. 1912), „wykorzystać spowodowany przez wojnę kryzys ekonomiczny i polityczny dla wywołania ruchu ludu i przyśpieszenia w ten sposób zniesienia panowania klasowego kapitału"; albo też — cofnąć się wstecz, skapitulować przed imperialistyczną burżuazją i wbrew interesom mas pracujących, przeciw ich interesom, wprząc się do rydwanu kapitału imperialistycznego.

Komuniści padają, akcje rosną

Jak wyszła z tej próby niemiecka socjal-demokracja; którą z dwóch dróg obrała; jak wykonała zadanie, włożone na nią przez międzynarodowy kongres w Bazylei?

„Z uczuciem głębokiego żalu musimy stwierdzić" — pisał Lenin w październiku 1914 r. — „że partie socjalistyczne najważniejszych krajów Europy nie wykonały tego swego zadania, a zachowanie się przywódców tych partii — zwłaszcza niemieckiej — graniczy z jawną zdradą sprawy socjalizmu... Na skutek ich zachowania się, partie robotnicze nie przeciwstawiły się zbrodniczemu postępowaniu rządów, lecz wezwały klasę robotniczą do **scalenia** swojej pozycji z pozycją rządów imperialistycznych. Odpowiedzialność za to shańbienie socjalizmu pada przede wszystkim na niemieckich socjal-demokratów, którzy stanowili najsilniejszą i najbardziej wpływową partię II Międzynarodówki" (Lenin, t. XVIII, wyd. 3, ros. str. 62—63).

Pełne goryczy i potępienia słowa Lenina, to słowa wodza jedynej w II-ej Międzynarodówce partii, która w obliczu wojny nie zawahała się ani na chwilę, nie zeszła z raz obranej drogi, nie sprzeniewierzyła się idei socjalizmu. Nie znane były Leninowi wówczas w całej rozciągłości dokumenty hańby przywódców niemieckiej socjal demokracji, lecz to, co już wiedział, usprawiedliwiało całkowicie jego surowy sąd.

4 sierpnia 1914 r. — tego samego dnia, w którym wojska niemieckie przekroczyły granice neutralnej Belgii — przywódcy niemieckiej socjal-demokracji rządowi kajzerowskiemu udzielili kredytów wojennych.

Może byli zaskoczeni wypadkami i nie zdawali sobie sprawy ze swego kroku?

Zwróćmy się do faktów.

31 lipca 1914 r., o godz. 8-ej wieczór, niemieckie ministerstwo wojny wysłało do naczelnego dowództwa armii niemieckiej zawiadomienie N 64 g. g. A. I. następującej treści:

„Na podstawie wiarygodnych informacyi, partia socjal-demokratyczna powzięła niezłomną decyzję zachowania się tak, jak to w obecnej sytuacji (tzn. w sytuacji, gdy dla imperializmu niemieckiego wojna była już rzeczą zdecydowaną B. K.) przystoi każdemu Niemcowi. Uważam za mój obowiązek zawiadomić o tym, aby dowódcy wojskowi, podejmując niezbędne kroki, uwzględnili ten fakt".

Kierownictwo niemieckiej socjal-demokracji sprzęgło się z militaryczno-imperialistyczną kliką Niemiec. Uczyniło to wówczas, gdy na zewnątrz — w prasie i na wiecach — wciąż jeszcze rozwodziło się na temat walki z wojną.

Scheidemann, Noske i in. zdawali sobie całkowicie sprawę z tego, o co się wojna toczy: (za taką uważali przywódcy niemieckiej socjal-demokracji wojnę 1914—1918 roku), nie staje się bynajmniej wojną zaborczą, gdy w końcu ktoś zostaje zwyciężcą i coś nie coś zyskuje" (Heilmann w socjal-dem. gazecie „Chemnitzer Volksblatt", z dn. 2.7. 1915).

„Tylko niedojrzałe głowy polityczne mogą być zdania, że słupy graniczne pozostaną nienaruszone" (Scheidemann, z przemówienia w parlamencie dn. 5.4. 1916 r.).

„Jeżeli dla lepszej obrony Niemiec konieczna jest aneksja linii Narwi, to żaden Niemiec nie powinien przeciwko temu protestować" (s. d. poseł Landsberg na posiedzeniu s.-d. frakcji parlamentarnej).

„Należy przedsięwziąć kroki..., aby Toruń nie był osiągalny dla dalekonośnych dział twierdz rosyjskich" (Oskar Geck, w socjal-dem. gazecie „Karlsruhrer Volksfreund, z dn. 4 lutego 1916 r.).

Z dnia na dzień zatruwali pp. Scheidemann i Ebert, Noske i Legień masy pracujące Niemiec czadem szowinizmu, myślą o tym, że będą one mogły żyć i używać kosztem innych narodów, kultywowały w nich poczucie wyższości Niemiec nad innymi narodami, pogardy dla nich.

Nauki tych panów nie poszły w las. Przygotowały one ten grunt, na którym później tak bujnie wyrosła ideologia hitlerowska.

* * *

Czy wojna zmieniła, czy też tylko ujawniła rzeczywiste oblicze niemieckiej partii socjal-demokratycznej, czy jej upadek, bankructwo, jako partii klasy robotniczej było skutkiem okoliczności, wynikłych bezpośrednio z wojny, czy też miało głębsze korzenie, tkwiące w poprzedzającym wojnę okresie rozwoju tej partii?

Tu pachnie gnojem

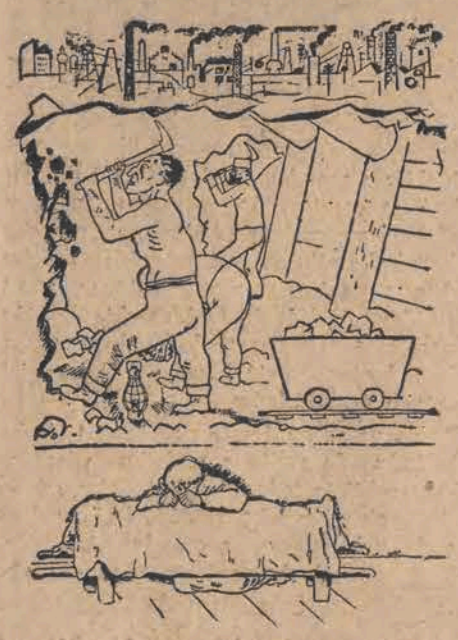

Skąd się biorą dywidendy

Aby odpowiedzieć na to, musimy się cofnąć nieco wstecz.

Jak wiadomo, niemiecka socjal-demokracja była najsilniejszą i najbardziej wpływową partią II Międzynarodówki", która powstała na przełomie epoki imperializmu. Kształtowanie się i rozwój II Międzynarodówki (1889—1914) przypada jednak na względnie „pokojowy" okres imperializmu, gdyż pozbawiony — jeśli nie liczyć rewolucji 1905 r. — wielkich wstrząsów. Równolegle jednak, był to okres zaostrzających się przeciwieństw imperialistycznych, walk klasowych i narodowo-wyzwoleńczych — pomruków zbliżających się burz dziejowych.

W tym względnie „pokojowym" okresie swego rozwoju II Międzynarodówka dokonała „nadzwyczaj ważnej i pożytecznej pracy rozpowszechniania socjalizmu wszerz" (Lenin, t. XVIII, wyd. ros., str. 77), „nauczyła klasę robotniczą tak skutecznych środków walki, jak wykorzystywania parlamentaryzmu i wszystkich legalnych możliwości, zakładania masowych organizacyj ekonomicznych i politycznych oraz szerokiej prasy robotniczej itd." (ibid str. 126).

Ale zasugerowana tym względnie „pokojowym" rozwojem ruchu robotniczego, przesiąknięta legalizmem, zapatrzona w fetysza parlamentaryzmu ulegała coraz bardziej wewnętrznemu rozkładowi. Wewnątrz II Międzynarodówki, a więc i wewnątrz socjal-demokracji, toczyła się zaciekła walka dwóch kierunków w ruchu robotniczym — rewolucyjnego i rewizjonistycznego — o drogi jego rozwoju, o wierność zasadom socjalizmu. W walce tej coraz bardziej brał górę kierunek rewizjostyczny, aż zwyciężył i sprowadził kierowane przez się organizacje robotnicze z drogi socjalizmu na drogę ugody z imperialistyczną burżuazją, na drogę podporządkowania interesów mas pracujących interesom „rodzimego" imperializmu.

Gdy wybuchła wojna, pękł — używając słów Lenina — ohydny wrzód, który od lat

*) Rysunki Grosza z okresu po pierwszej wojnie światowej.

dojrzewał wewnątrz ruchu robotniczego Europy, wewnątrz niemieckiej socjal-demokracji, zatruwając jej organizm.

* * *

Sparaliżowany przez Scheidemannów na początku wojny lat 1914-18 ruch robotniczy Niemiec zaczyna się — przede wszystkim pod wpływem uświadamiającej, ofiarnej pracy lewicy socjal-demokratycznej, a zwłaszcza „Związku Spartakusa" — znów budzić do życia. Przedłużająca się wojna, w połączeniu z poczuciem nieuchronnej klęski, wzrastająca nędza i wyzysk, potęgują coraz bardziej wrzenie w masach. W Rosji pada carat — fala strajków masowych zalewa Niemcy. Grunt zaczyna usuwać się spod nóg klas pracujących — junkrów pruskich i wielkiego kapitału, chwieje się monarchia pruska.

Jaka w tej sytuacji jest pozycja p. Scheidemannów?

Opowiedza nam o tym najlepiej oni sami, opowiedzą również ci, którym pośpieszyli z pomocą.

Dn. 3.4. 1917 roku pisze organ pp. Scheidemanów i Ebertów „Vorwärts" co następuje:

„Monarchia, spełniająca życzenia narodu, usuwa wszelki grunt spod nóg agitacji za republiką... Jeżeli jeszcze istnieją wymagające przezwyciężenia trudności, to będą one — i to prawdopodobnie w najbliższym czasie — usunięte, **bez śladu nawet przewrotu drogą przemocy, lub obalenia monarchii"** (podkr. moje B. K.)

Wilhelm II przyrzeka reformę prawa wyborczego.

14 lipca 1917 roku pisze Perner w s.-d. gazecie „Hamburger Echo":

„W ciągu 26 lat pokoju i 3 lat wojny cesarz i naród poznali się wzajemnie tak dalece, że **nawrót do dawnej nieufności jest bodaj z obydwu stron niepożądany...** Jeżeli cesarz niemiecki i jego następcy pozostaną wierni zasadom, które znalazły wyraz w ostatnim orędziu wielkanocnym i ukazie lipcowym, wówczas na przyszłość **monarchia niemiecka spocznie na ramionach milionów ludzi pracy** (podkr. moje B. K.), mających wkrótce uzyskać całkowite równouprawnienie — co najmniej tak samo pewnie i niewzruszenie, jak na zgarbionych plecach owych staropruskich magnatów, których wierność monarsza zaczyna się chwiać zawsze wtedy, kiedy monarchia nie postępuje zgodnie z ich wolą".

Słowem, Wilhelm winien „nam" nadal panować.

Ale sytuacja komplikuje się coraz bardziej. Na frontach klęska następuje po klęsce, ostatnie wielkie ofensywy na Zachodzie załamują się. Rewolucja socjalistyczna w Rosji rozbudza klasę robotniczą Niemiec, strajki ekonomiczne przerastają w masowe strajki polityczne, rewolucyjne hasła spartakusowców znajdują coraz większy posłuch.

Scheidemann i Ebert są na posterunku. Wchodzą w skład „ludowego" rządu księcia Maksa Badeńskiego.

W jakim celu?

W październiku 1918 roku jeden z leaderów socjal-demokratycznej frakcji Reichstagu, p. Edward David, oświadcza w ministerstwie spraw wewnętrznych:

„Trzeba obecnie przedsięwziąć wszystko, by uratować cesarza".

A gdy nic już nie pomaga, poświęcają Wilhelma — by uratować pruską monarchię.

Posłuchajmy p. Scheidemanna:

„Podsądni zarzucają mi, żem zdradził cesarza... Oświadczyłem ks. Maksowi Badeńskiemu: — Jeżeli pan, jako człowiek, stojący na gruncie monarchii, pragnie ją uratować, musi pan skłonić cesarza do abdykacji. Jeśli bowiem nastąpi katastrofa (klęska wojenna przyp. autora), wówczas lud nie ograniczy się do żądania abdykacji, będzie się on domagał zniesienia monarchii".

Powołuje się przy tym p. Scheidemann, tak mocno dotknięty w swych uczuciach wiernopoddańczych, na świadectwo junkra, hr. Bernstorffa:

„Scheidemann bynajmniej nie popychał ku rewolucji, żądał on jednak ustąpienia cesarza jako conditio sine qua non uratowania monarchii (Z zeznań Scheidemanna jako świadka na procesie z powodu zamachu na niego, „Vorwärts" 6.12. 1922 r.).

Uratować Wilhelma i monarchii nie udało się p. Scheidemannowi. Nastąpiła również „katastrofa" — klęska wojenna, — której tak się obawiał. Ruch rewolucyjny wyrywał się na powierzchnię groził zatopieniem twierdz pp. Hindenburgów i Kruppów, Beselerów i Wolfów. Grabieżcze warunki, podyktowane z błogosławieństwa pp. Scheidemannów przez imperializm niemiecki młodej republice socjalistycznej wywołują wzburzenie, którego zażegnać „zwykłymi" środkami już niepodobna. Rozpoczynają się powstania. Chodzi teraz nie o Wilhelma i nie o monarchię pruską, ostatecznie tylko zewnętrzną formę panowania kapitału trustowego i junkrów, chodzi o samą władzę kapitału.

„Powstało zagadnienie: jak można uratować przemysł? Jak uratować również przemysłowców **przed socjalizacją, zagrażającą zalewem wszystkim gałęziom gospodarki, przed upaństwowieniem i zbliżającą się rewolucją...** Przemożne wpływy miała, tylko zorganizowana klasa robotnicza. Wyciągnęliśmy z tego wniosek: Wobec panującej powszechnie olbrzymiej niepewności, w obliczu zachwianej władzy państwa i rządu, **dla przemysłu istnieje silny sojusznik po stronie robotników...**" (Z przemówienia syndyka ogólnoniemieckiego związku przemysłowców 30.12 1918 r., podkr. moje).

Czy pp. Scheidemanni zawiedli nadzieje wielkiego kapitału?

„Kto, podobnie jak ja, spędzał jako członek Komisji partii większości dzień po dniu razem z przywódcami tych partii, ten może zaświadczyć, ile trudu zadawali sobie Ebert i Scheidemann, Landsberg i David, Suedekum i Noske, aby uniknąć rewolucji". (Poseł Gotheim, w burżuazyjnej gazecie „Achtuhr — Abendblatt", sierpień 1922).

Ale rewolucja wybuchła, wybuchła 9 listopada 1918 roku wbrew i przeciw woli pp. Scheidemannów i Noske, Ebertów i Legienów. Reakcja, rozumiejąc, że nie potrafi w tej chwili stawić czoła szturmującym masom ludowym, wycofuje się na razie na plan drugi.

Ster rządów przechodzi bezpośrednio do rąk Scheidemanna i Eberta.

Już w kilka dni później zostaje przez nich zawarty pakt z reakcją, przeciw szturmującej demokracji. O jego treści i celach świadczy najlepiej rozkaz naczelnego dowództwa Nr 17 z dn. 20.11 1918 r.

„Generalny marszałek polny (Hindenburg. B. K.) oświadczył, że naczelne dowództwo armii pragnie współpracować z kanclerzem Rzeszy **Ebertem,** dotychczasowym przywódcą umiarkowanej partii socjalistycznej, celem zapobieżenia rozpowszechnianiu się w Niemczech terrorystycznego bolszewizmu. Rozpowszechnianie to musi być zdławione".

„Zaszczyt" dławienia rewolucji powierzony zostaje „wypróbowanemu socjaliście" p. Noske. Zostaje on naczelnym dowódcą.

Z niezrównanym cynizmem opisuje on okoliczności swojej nominacji:

...Minister wojny, pułkownik Reinhardt, zredagował rozkaz o mianowaniu przez rząd i radę centralną naczelnym dowódcą gen. von Hoffmanna, który na czele kilku formacji wojskowych znajdował się niedaleko od Berlina. Ktoś rzucił uwagę, że mianowicie generał wywołać może olbrzymie niezadowolenie wśród robotników... Silnie zdenerwowani — bo czas naglił i na ulicach ludzie domagali się broni — staliśmy w gabinecie Eberta. Zażądałem, by powzięta została uchwała. Na to... jeden z obecnych powiedział: a więc zabierz się ty do tego! Odpowiedziałem krótko i zdecydowanie: dlaczegóż by nie, **ktoś musi zostać krwawym psem"!** (Noske: „Od Kilonii do Kappa, podkr. moje. B. K.).

Ale nie cynizm p. Noske interesuje nas w jego słowach. Ujawniają one zakulisowe machinacje Ebertów z Reinhardtami.

Nie szczędzą Scheidemann i Ebert gromkich słów o socjalizacji, demokracji itp., by zyskać na czasie. A tymczasem „krwawy pies" Noske morduje walczących przeciw reakcji robotników, morduje ich w roku 1918, w styczniu i w marcu 1919, w 1920 i 1921. Morduje Karola Liebknechta i Różę Luksemburg, nieprzejednanych wrogów reakcji, by pozbawić klasę robotniczą jej głównych przywódców.

Z dnia na dzień, łamią pp. Ebert i Noske wolę ludu do walki z reakcją, wiarę w siebie, rozbijają jedność robotników, szczując jednych przeciwko drugim. Dają reakcji czas do ochłonięcia, gromadzą jej siły, przywracają jej niepodzielną władzę.

Odbudowują Scheidemann, Ebert i Noske potęgę militarną Niemiec. Przywracają w prawach kajzerowskich generałów i oficerów, tworzą z niemieckich burszów i innych awanturniczych elementów nacjonalistycznych „formacje ochotnicze" do walki z robotnikami, grenzschutzy, bürgerschutzy itp. — zalążki późniejszych formacji SA i SS. Reakcyjny generał Maerker, morderca robotników, opisuje rewię wojsk dokonaną w styczniu 1919 roku przez Eberta i Noske w obozie warownym w Zossen:

„Byli radośnie zdumieni (Ebert i Noske), gdy ujrzeli przed sobą znowu „prawdziwych żołnierzy"... Noske poklepał Eberta po ramieniu i powiedział: „Nie bój się, **wkrótce wszystko znów będzie dobrze"** (pamiętniki gen. Maerkera).

Severing, który jeszcze przed dojściem do władzy Hitlera kazał strzelać do demonstrujących robotników, a dziś jest najbliższym współpracownikiem i doradcą p. Schuhmachera, w sprawach polityki zagranicznej, uważał za nieodzowne, skarżąc się na niewdzięczność, przypomnąć:

„W roku 1919 rozpocząłem moją oficjalną działalność od walki przeciwko lewicowo-radykalnym elementom naszego narodu, walkę tę w tym samym kierunku kontynuowałem w roku 1920. W roku 1921 podczas tłumienia rozruchów w środkowych Niemczech również nie walczyłem z prawicą" (z przemówienia w pruskim landtagu 23.4. 1923).

Giełda wykazywała całkowite zrozumienie dla Scheidemannów, Severingów i Noske: po rozstrzelaniu w Berlinie przed Reichstagiem 13.1. 1920 r. demonstracji przedstawicieli rad zakładowych przez oddziały p. Noske notowano:

„Nowa zwyżka kursów, dzięki zaufaniu do Noskego, od którego oczekuje się, że uda mu się zdławić wichrzycieli. Panuje niezachwiana pewność" („Deutsche Tageszeitung" — Berlińska giełda dewizowa 14.1. 1920 r.).

* * *

23 listopada 1918 roku pisał Heilmann w s.-d. gazecie „Die Glocke":

„Wewnętrzna i zagraniczna polityka są stale i nierozłącznie ze sobą związane... Nie wolno... by rewolucja (niemiecka — przyp. aut. B. K.) stała się socjalistyczną. **Zwycięzcy kapitaliści państw Ententy wzięli by to nam mocno za złe...** nie wolno nam próbować zniesienia za jednym zamachem kapitalizmu.... Musimy zachować się przyzwoicie(!) zarówno w dziedzinie polityki światowej, jak i w dziedzinie socjalnej. Zwycięska Ententa chce tylko porządku... Odpowiada to w znacznej części naszym własnym poglądom" (podk. moje B. K.).

Miał rację w tym wypadku p. Heilmann: antyrobotniczej, antydemokratycznej polityce restauracji imperialistycznej reakcji wewnątrz kraju przez prawicowych przywódców socjal-demokracji, musiała odpowiadać tej samej treści polityka zagraniczna.

Nie zamierzamy powtarzać tutaj powszechnie znanych faktów, świadczących o pełnym nienawiści stosunku Ebertów i Scheidemannów do Rosji Sowieckiej. Rzecz jasna, że restauratorzy imperialistycznej „świetności" Niemiec — władzy kapitału monopolistycznego — będą szukać oparcia nie w siłach postępu i pokoju, lecz w kierunku wręcz przeciwnym. Pan Heilmann oświetlił nam nieco tendencje polityki niemieckiej socjal-demokracji. Posłuchajmy jednak jeszcze innych jej przywódców.

„Jeden z moich kolegów poinformował mnie" — mówił p. Noske w Zgromadzeniu Narodowym w dn. 15.2 1919 r. — „że na posiedzeniu rządu w listopadzie... Kautsky zaproponował, by nie wznawiać stosunków z bolszewicką Rosją, gdyż będziemy na skutek tego jeszcze **mniej mile widziani przez Ententę"** (podkr. aut.).

Ale masy domagają się podjęcia stosunków z Rosją Sowiecką.

„Dalszy ciąg obrad nad stosunkiem Niemiec do Rosji Sowieckiej... Kautsky popiera Haasego: należy odwlec powzięcie decyzji. Rząd sowiecki nie długo się już utrzyma, za kilka tygodni będzie zlikwidowany" (protokół posiedzenia rządu z dn. 19.11 1918 r.).

Na posiedzeniu rządu, w związku z uchwałą konferencji berlińskich rad robotników i żołnierzy o nawiązaniu stosunków z Rosją Sowiecką, oświadczył socjal-demokrata Landsberg:

„Gdzież byłby nasz honor narodowy, gdybyśmy na Wschodzie umizgali się do **byle narodu słowiańskiego** (Slovakenvolk). ...Nie mamy prawa, nie wolno nam tego robić... Ebert, Scheidemann, Haase i Ditmann mówili w tym samym duchu".

Panowie Ebert, Scheidemann i tutti quanti starali się pozyskać względy i zaufanie przede wszystkim reakcji angielskiej. Straszyli rewolucją, ofiarowali swe usługi przeciw Rosji.

23 grudnia 1918 roku odbyła się narada pomiędzy pełnomocnikiem rządu Eberta — Scheidemanna, **soc.-dem. Winnigiem** i przedstawicielem **rządu angielskiego** Mansauquetem, b. angielskim konsulem generalnym w Rydze. Uchwalono:

„1. Niemcy powinni utrzymać w tej strefie (w krajach bałtyckich B. K.) dostateczną ilość wojsk, by **szachować bolszewików...**"

...2. Opracowanie obecnej dyzlokacji **wojsk** (niemieckich), **walczących przeciw bolszewikom...**"

„Oświadczenie p. Winniga: ...bylibyśmy (w tym celu B. K.) **gotowi stworzyć do walki oddziały ochotnicze, co się nam częściowo już udało"** (z telegramu pułkownika Buernera, szefa sztabu VIII armii do rządu, 27.12 1918 r., podkr. moje. **B. K.)**

Podsumowując politykę niemieckiej socjal-demokracji możemy stwierdzić: wewnątrz kraju — utrwalenie władzy kapitału monopolistycznego restauracja reakcji i militaryzmu; w polityce zagranicznej — „orientacja zachodnia", tj. orientacja na sojusz z kapitałem angielskim przeciwko masom pracującym własnego kraju i światowym siłom postępu.

A w stosunku do Polski:

Rząd Eberta — Scheidemanna dławi krwawo ruch narodowo-wyzwoleńczy w b. zaborze pruskim, w szczególności w Poznańskim.

Na Górnym Śląsku „Polacy organizowali napady, które niekiedy przeistaczały się w prawdziwe bitwy w końcu grudnia (1918 r.) ruch ten stał się tak niebezpieczny, że rząd (Scheidemanna — Eberta **B. K.)** uważał za konieczne wysłać wojska... Wojska grenzschutzu, formacji stworzonej rzekomo... dla obrony przed bolszewizmem i nadużyciami ze strony Polaków, rozstrzelały z karabinów maszynowych strajkujących i demonstrujących robotników" (Richard Miller „Wojna domowa w Niemczech" ,str. 126).

Ówczesne warunki pokojowe są dla Polski w stosunku do Niemiec niekorzystne, godzą w jej interesy narodowe.

Ale Niemców i one nie zadawalają.

„Nie przeczę, że możemy się, na przykład znaleźć w sytuacji, kiedy zwrócimy się do ludności górnośląskiej z wezwaniem, by w chwili niebezpieczeństwa najazdu ze strony Polski połączyła się z naszą policją i naszą armią dla obrony przeciw najazdowi".

Prowokacja Hitlera? Bynajmniej — są to słowa soc.-dem. Severinga (21.4 1923 r.) — tego samego p. Severinga, o którym już mówiliśmy jako o najbliższym współpracowniku w sprawach polityki zagranicznej soc.-dem. Schuhmachera. P. Severing jest równocześnie w chwili obecnej **doradcą okupacyjnych władz angielskich do spraw Niemiec.**

* * *

Rok 1923 zamyka okres otwartych walk rewolucyjnych proletariatu niemieckiego o postępowe drogi rozwoju.

Jeszcze raz w roku tym podejmuje klasa robotnicza, rozbrojona w latach 1918—1921 na skutek polityki przywódców socjal-demokracji niemieckiej, bój z reakcją. Osiąga sukcesy, stwarza rządy jednolitofrontowe lewicy socjaldemokratycznej i komunistów w Saksonii i Turyngii. I ulega. Ulega przemocy zjednoczonych sił kapitału — wojska, policji, band faszystowskich — i prawicy socjaldemokratycznej, która łamie jej front od wewnątrz.

„...Jeżeli udało nam się wkroczyć (w roku 1923 przyp. aut.) do Saksonii i Turyngii" — mówił premier Stresemann 30 marca 1924 roku na zjeździe niemieckiej partii ludowej — „to czy aby nie dlatego, że zdobyliśmy dla tej sprawy socjal-demokrację. Mieliśmy dlatego przeciwko sobie tylko komunistów, **a nie jakiś tam jednolity front proletariatu, który w owych czasach mógł nas drogo kosztować"** (podkr. autora).

Reakcja triumfowała. Miała wszelkie ku temu podstawy. Odtąd siedziała mocno w siodle. Czuła się znów władcą Niemiec.

*

Następne lata republiki weimarskiej znamionuje wzrastająca potęga kapitału mo-

nopolistycznego i jego ofensywa przeciwko klasie robotniczej: imperializm niemiecki, szykując się do skoku, zabezpiecza sobie maksymalnie zaplecze. Atakuje zdobycze klasy robotniczej, jej poziom życiowy, wolności demokratyczne. Odbudowuje potęgę militarną, stwarza rozgałęzioną sieć organizacyj faszystowskich. Działa nadal pod szyldem demokracji, by tym skuteczniej przygotowywać się do otwartej dyktatury.

Wzrost nastrojów lewicowych i wpływu partii komunistycznej, z jednej strony, i faszyzmu — z drugiej, postępująca ruina warstw pośrednich — skutek wzmożonej kartelizacji gospodarki niemieckiej — kryzysy gospodarcze o szczególnym natężeniu i zakresie — wszystko to doprowadza do niezwykłego zaostrzenia walk klasowych.

Klasa robotnicza broni się rozpaczliwie przeciwko ofensywie reakcji, walczy o swe prawa, o pokój i demokrację.

Czy w tej sytuacji niemiecka socjaldemokracja zmienia politykę lat poprzednich? bynajmniej pogłębia ją jeszcze bardziej.

Swego głównego wroga widzi nie w reakcji, lecz w lewicy. Nawołuje do walki nie przeciw ofensywie reakcji, lecz przeciw komunistom. Nie w imperializmie niemieckim tkwi dla niej niebezpieczeństwo nowej wojny. Wmawia w masy, że grozi ono ze strony Związku Radzieckiego, straszy widmem „czerwonego imperializmu". Robi ze Stinnesa — socjalistę" (socjaliści będą go może czcili jako jedynego ze swych największych mężów" („Vorwärts"), a ze Stanów Zjednoczonych A. P., kraju najpotężniejszego kapitału monopolistycznego — kraj ledwo, że nie „socjalizmu", a już w każdym razie wymarzonej „demokracji gospodarczej".

Utworzony w roku 1927 rząd socjaldemokratyczny Müllera — Severinga, kontynuuje politykę poprzedniego prawicowego rządu Marxa. Popiera uchwałę (10. 8. 1928) o budowie krążownika „A", zapoczątkowując w ten sposób odrodzenie marynarki wojennej Niemiec.

Nie cofają się przywódcy niemieckiej socjal-demokracji również przed „praktyką Noskego".

W 1929 roku socjal-demokratyczny prezydent policji Berlina Zörgiebel tłumi pierwszomajową demonstrację robotników. Rezultat: — 32 zabitych i 150 ciężko rannych. Kilkudziesięciu robotników zostaje skazanych na długoletnie więzienie. Przywódcy niemieckiej socjal-demokracji rozbrajają klasę robotniczą, chociaż hitleryzm coraz wyraźniej sięga po władzę — 6 maja 1928 roku, s.-d. **Irschesińsky** w Prusach, a nieco później socjal-demokratyczny minister spraw wewnętrznych **Severing** w całych Niemczech, rozwiązują „Związek czerwonych frontowców" (RFB) — potężną organizację obrony proletariackiej.

Głoszą taktykę „mniejszego zła", wysławiają Hindenburga jako przeciwnika Hitlera („Hindenburg nie dopuści Hitlera do władzy"), powstrzymując w ten sposób robotników od walki.

Przywódcy niemieckiej socjal-demokracji zwalczają nawet wszelką myśl o jednolitym froncie klasy robotniczej, piętnują jako podstęp, komunistów każdą próbę w tym kierunku.

Jeżeli w sprawach jednolitego frontu komuniści niemieccy popełnili wiele bardzo ciężkich w swych skutkach dla klasy robotniczej błędów, to przywódcy socjal-demokracji niemieckiej stali konsekwentnie na stanowisku antyjednolitofrontowym.

W groźne dni Brünninga, Pappena, Schleichera umożliwili swoją polityką „mniejszego zła" i stanowiskiem antyjednolitofrontowym przyjęcie „nadzwyczajnych ustaw" („**Notverordnungen**") przeciw demokracji.

20 lipca 1932 roku v. Pappen przepędza siłą socjaldemokratyczny rząd w Prusach. Niemiecka socjal-demokracja odrzuca propozycję partii komunistycznej odwołania się do mas, stworzenia jednolitego frontu i ogłoszenia strajku generalnego — woli odwołać się do Hindenburga, jako „reprezentanta narodu niemieckiego". (z listu Leiparta do Hindenburga).

Polityka przywódców niemieckiej socjaldemokracji zohydzała w oczach mas pojęcie demokracji i socjalizmu, podważała w nich wiarę w siłę ruchu robotniczego i mas pracujących, oddawała je na łup faszyzmowi, pchała masy w jego objęcia.

Jeszcze raz w przeddzień przyjścia Hitlera do władzy, zaproponowała partia komunistyczna przywódcom socjaldemokracji front jednolity — daremnie.

Hitler zwyciężył. Rozpoczął się straszliwy okres w dziejach Niemiec i całego świata.

* * *

„Nowy ład" w Niemczech święci swoje pierwsze triumfy — pomieszczenia organizacyj robotniczych zdemolowane, więzienia przepełnione, tysiące demokratów, socjaldemokratów, komunistów, zamordowanych.

7 marca 1933 roku oficjalny organ niemieckiej socjaldemokracji „Social-demokratische Pressedienst" pisze:

„Nowemu rządowi Rzeszy udzieliła pełnomocnictw bezsprzeczna większość. **Legalność tego rządu nie ulega wątpliwości.** Konieczne jest zatem umiarkowanie i mądrość zarówno w dziedzinie polityki zagranicznej, jak wewnętrznej".

Partia komunistyczna schodzi w podziemia, przygotowuje się do walki, wzywa kierownictwo socjal-demokracji do zespolenia sił, do utworzenia jednolitego frontu. Odpowiedzią są nowe oszczerstwa.

9 marca 1933 roku tenże „Socjaldemokratischer Prassedienst" pisze:

„Komunizm oznacza bolszewizm... **Nasz socjalizm jest socjalizmem niemieckim".**

„Złe metody" Hitlera nie dały przywódcom niemieckiej socjal-demokracji możności wykazania w całej okazałości „niemieckości" ich „socjalizmu". Hitler odtrą-

Niech żyje Noske! Młoda rewolucja umarła

Zabity podczas ucieczki

O piątej rano

Sanatorium dla robotników. Światła i powietrza dla proletariatu!

MIECZYSŁAW JASTRUN

O MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Myślę często o poetach najmłodszych, z którymi rozmawiam i niekiedy koresponduję. Zasługują oni na tym większą sympatię, przyjaźń i gotowość pomocy, im mniej zaznaliśmy tych naturalnych darów ludzkich w naszej wczesnej młodości.

Młodzi poeci pytają nieraz: „Jak pisać"? Cóż mogę im na to odpowiedzieć. Trudno mi nawet poradzić im co mają czytać, wobec spustoszenia bibliotek. Mówię im zazwyczaj: przestudiujcie nową poezję, zwłaszcza francuską, a później oswoiwszy się już z formą współczesną czytajcie klasyków polskich i obcych. Czytajcie uważnie i samodzielnie. Nie naśladujcie, lecz wyciągajcie wnioski.

Bo jeśli czego brak najwięcej naszym młodym poetom — to wykształcenia, kultury literackiej, poczucia ciągłości życia literackiego, szacunku dla wielkich form przeszłości. Bo nawet na to, aby się przeciw tym formom zbuntować trzeba je wpierw w jakimś sensie podziwiać. Największy rewelator poezji francuskiej — Rimbaud wyrósł z parnasistów i Baudelaire'a. Młodzi poeci mają szkołę najgorszą. Słyszeli to i owo o nowatorstwie, urodzili się niejako wolni od więzów rytmu i rymu, w kolebce już obdarzeni zostali skomplikowanym obrazem bez żadnego pokrycia. Jaką cenę z własnego doświadczenia poetyckiego zapłacili za te „zdobycze"? Przyciśnięci do muru wyznają, że boją się banału, zarzutu „starzyzny", że wreszcie po prostu nie umieją złożyć porządnej strofy, zinstrumentalizować zdania.

Ta młodzież, która przeżyła wielką tragedię narodu podczas okupacji i w czasie powstania warszawskiego, ta młodzież odważna, piękna i wspaniała — gdy chce coś ze swoich doświadczeń wypowiedzieć w kształcie poetyckim, plącze się w niemożności wyjścia poza ciasną i nieprzydatną poetykę ekspresjonistyczną. Bo to, co daje współczesna młodzież poetycka jest albo czystym ekspresjonizmem, albo dość szczególnym stopem ekspresjonizmu, z impresjonizmem. Jeden z wybitnych poetów współczesnych, mówiąc o poezji najmłodszej wyraził się lapidarnie: chmura ekspresjonizmu nad ruinami Warszawy. Zdawałoby się, że nic w tym nie ma złego. Ale pamiętajmy, że u nas najgorsze okresy poezji trąciły bezkształtem tego kierunku. Prawie cała „Młoda Polska" była właśnie takim ekspresjonistycznym „krzykiem ducha". Z tym duchem nie jest dobrze. W Warszawie okupowanej, gdzie wszystko było tak konkretne, jednoznaczne, tak przerażająco jawne, gdzie śmierć nie miała owej cywilnej tajemniczości, która otacza normalne zgony, w tym mieście grozy i bohaterstwa, czytałem czasami podsuwane mi przez przyjaciół gęste od złych metafor poematy młodych poetów.

Mistyka nie dobrą muzą, niszczyła sztukę nawet wielkich. Dzisiejsi młodzi nie są, na szczęście, mistykami, ekspresjonizm ich jest innego gatunku i pochodzenia, jest to ekspresjonizm nie donoszonej formy, nie oczyszczonego widzenia. Zmącenie obrazów, niezorkiestrowanie głosów nie jest tu zamierzone, jest objawem niedomagania.

Przyczyny tego stanu są liczne i złożone. Nie o nich jednak chcę mówić. Wolałbym mówić o środkach zaradczych. Ale to nie jest sprawa prosta i łatwa.

Tym młodym poetom należy pomóc. Nie podobna wprawdzie większości ich prób drukować w naczelnych pismach literackich, można by jednak zainicjować wydawanie arkuszy poetyckich, czy małych zbiorków. Sprawę tę podniósł już Leopold Staff w „Dzienniku Polskim" nie szczędząc słów przyjaznej i dobrotliwej zachęty dla najmłodszych poetów i podkreślając, że bez ciągłości tradycji nie będzie dobrej poezji. Ale jak spełnić marzenie wielkiego poety? Może zakładać specjalne kursy dla młodych? Ostatecznie — mówi się najczęściej — przecież wszystko zależy od zdolności indywidualnych adepta poezji. Tak, w pewnej mierze, ale pamiętajmy, że dobrzy poeci nie rodzą się z niczego i nie każdy zaczyna tak obiecująco jak na przykład Zygmunt Radek.

Nie bardzo wierzę, by stworzenie seminariów poetyckich, prowadzonych nawet przez doświadczonych pisarzy, podwyższyło ogólny poziom liryki. Myślę jednak, że nie powinniśmy rezygnować z jednego prostego środka: należy wydać wybór najlepszych utworów liryki polskiej, utworów wzorowych. Pierwsza seria na początek powinna zawierać wiersze Kochanowskiego, Szarzyńskiego i Morsztyna. Druga — wybór poetów XVIII wieku. Z romantykami można by na razie poczekać. Jeśli brać pod uwagę wyłącznie sprawy rzemiosła poetyckiego, polegałbym raczej na poetach staropolskich. Metoda romantyczna dla początkujących poetów byłaby szkodliwa.

Ze znajomością liryki zagranicznej wśród młodych nie jest w tej chwili również najlepiej. Myślę, że niedawno wydana Antologia poezji francuskiej w opracowaniu Ważyka odegra niemałą rolę pod tym względem, podobnie, jak zapowiadana już od dawna antologia poezji rosyjskiej.

Oczywiście szkoła musi dać podstawy, musi uczyć po prostu zrozumienia, że utwory literackie budowane są ze zdań, musi uczyć poczucia stylu.

Bez dokładnej i rozsądnej lektury poetów klasycznych poczucie to spadnie jeszcze niżej. Przyszli czytelnicy będą zdolni chyba tylko do odbioru wierszy plakatowych. Gorzej, obawiam się, że bliska przyszłość wyda szczególny typ poety, charakterystyczny dla naszych prowincjonalnych warunków i dużych ambicyj. Będzie to — proszę wybaczyć—Eluard w butach z cholewami. Nie sądzę jednak, by w szerokich sferach czytelników nie było głodu prawdziwej poezji. Jest on tak naturalny jak głód miłości, przygody, jak gotowość do marzenia i zdolność tworzenia obrazów we śnie. Lecz nawyki urodzone z martwej tradycji literackiej trwają i brużdżą niemało.

Kiedy na jakimś kursie nauczycielskim po przeczytaniu kilku wierszy prosiłem o zadawanie pytań, myślałem, że będą one dotyczyły konkretnych spraw związanych ze sztuką rymotwórczą. Tymczasem zapytano mnie czy nie mógłbym opowiedzieć o swoim życiu. To była wzruszająca prośba. Oczywiście nie mogłem jej spełnić, ale pomyślałem wtenczas, że cała nauka literatury ogranicza się u nas do opowiadania o życiu autorów. Nieśmiertelna Maryla poezji polskiej zabija po dziś dzień rozumienie najprostszych składników poezji, skuteczniej jeszcze niż Balladyna Alinę w ciemnym lesie fatalnej tradycji wiedzy o literaturze i nauczania literatury.

Mieczysław Jastrun

cił ich. Byli mu niepotrzebni. Swoje zrobili, dali mu nawet czas do umocnienia faszystowskiego reżimu — wyrzucił ich.

Poszli, pozostawiając robotników socjal-demokratycznych własnemu losowi.

W latach dyktatury hitlerowskiej zginęło w koncentracyjnych obozach i katowniach hitlerowskich, wielu niemieckich socjal-demokratów. Ginęli razem z komunistami, za wspólną sprawę, z rąk wspólnego wroga.

Przywódcy niemieckiej socjal-demokracji nie mają jednak z nimi nic wspólnego.

* * *

Reżym hitlerowski został rozgromiony, zmieciony z powierzchni ziemi przez zjednoczone siły demokracji światowej. Naród niemiecki bronił Hitlera aż do końca, bronił zaciekle, z desperacją kompana we wspólnej zbrodni. Nie zamierzamy bynajmniej analizować tego faktu, chcemy tylko spytać, ile w tym było „zasługi" prekursorów p. Schuhmachera, którzy w ciągu dziesiątków lat zachwalali rządy reakcji i tłumili lub pomagali tłumić wszelki odruch wolnościowy mas pracujących Niemiec.

Po upadku Wilhelma II na czele „nowych" Niemiec stanęli przywódcy niemieckiej socjal-demokracji — Ebert, Scheidemann, Noske; po upadku Hitlera — do reprezentowania „nowych" Niemiec roszczą sobie pretensje przywódcy niemieckiej socjal-demokracji — Schuhmacher, Severing, i inni.

Czy historia powtarza się? Czy też może p. Schuhmacher rzeczywiście nie ma nic wspólnego z Scheidemannami i Welsami?

Zwróćmy się raz jeszcze do faktów:

Pan Schuhmacher jest zdecydowanym przeciwnikiem jedności klasy robotniczej, zwalcza Zjednoczoną partię socjalistyczną Niemiec (SED), zwalcza samą ideę jedności, której wyniki w strefie radzieckiej gdzie została osiągnięta, mówią same za siebie: tylko tutaj, przez zrealizowanie reformy rolnej i unarodowienie przemysłu, podcięto korzenie reakcji niemieckiej, pozbawiono na zawsze junkrów i magnatów kartelowych w tej strefie wszelkiego wpływu na dalsze losy Niemiec. P. Schuhmacher ma wiele wyrozumienia dla „zbłąkanych owieczek" nazistowskich, natomiast ostrze walki skierowuje przeciwko komunistom, nie szczędzi im obelg i oszczerstw. Jak bardzo przypomina tu swoich poprzedników — Scheidemannów i Noske, Welsów i Leipartów.

Pan Schuhmacher jest już wspaniałomyślnie gotów zgodzić się na okrojone granice zachodnie; co innego, gdy chodzi o granice wschodnie.

W ogóle prasa p. Schuhmachera, gdy chodzi o Polskę demokracji ludowej, nie szczędzi określeń, jak „szowinistyczne", „komunistyczne", „rząd komunistyczny" itd.

Pan Schuhmacher jest mile widzianym gościem w pewnych kołach londyńskich. Jego najbliższym doradcą jest p. Beveridge, który uważa, że „to, co się stało na Wschodzie nie jest zbyt szczęśliwe" (z wywiadu udzielonego gazecie „Die Welt" Hamburg, 21.1.47).

Wolałby inną Polskę, Polskę „orientacji zachodniej" tzn. orientacji na pana Churchilla, Byrnesa i Beveridga.

Gazeta socjal - demokratyczna „Westfaelische Rundschau" pisała 22.I br. o wynikach wyborów w Polsce, co następuje:

„...premier rządu emigracyjnego w Londynie, Mikołajczyk... istotnie został wicepremierem... posiadał on stanowisko, ale żadnej władzy, ponieważ komuniści, ze zrozumiałych przyczyn sprawowali władzę absolutną... Jedyną nadzieją Mikołajczyka mogły być wolne i nieskrępowane wybory, od jakich wielkie mocarstwa uzależniały uznanie Polski... Czynniki sprawujące władzę przeciwstawiły się temu"...

S.-d. gazeta „Das Volk" pisała 22.I o wyborach:

„Obawy anglosaskie były więcej niż słuszne".

Moglibyśmy mnożyć te przykłady, lecz już to, co przytoczyliśmy, świadczy dostatecznie o rzeczywistej orientacji p. Schuhmachera.

Zresztą, świadczy o tym nie mniej wyraźnie stosunek p. Schuhmachera do Zw. Radzieckiego.

Pan Schuhmacher i jego partia prowadzi nagonkę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, który najbardziej przyczynił się do wyzwolenia narodu niemieckiego z hańby hitlerowskiej; wygłasza przemówienia prowokacyjne, nawet grozi.

Podobnie jak lord Beveridge p. Schuhmacher uważa widocznie to, co się dzieje na Wschodzie za „niezbyt szczęśliwe".

Czy nie marzy aby o „szczęściu", do którego tak uporczywie zdążali przywódcy niemieckiej socjal-demokracji od Schneidemana do Welsa?

Bronisław Krauze

Zabójstwo Karola Liebknechta i Róży Luksemburg

(Przekład z wiedeńskiego mies. „Die Zukunft" 1947)

OD REDAKCJI

Praca niniejsza ukazała się w wiedeńskim miesięczniku „Die Zukunft" (Sozialistische Monatschrift für Politik und Kultur). Przedrukowujemy ją ze względu na niezwykle ciekawy, wręcz sensacyjny przebieg wydarzeń, które opisuje, i wynikające z tego opisu wnioski. Jest rzeczą znamienną dla stosunków panujących jeszcze teraz w społeczeństwie niemieckim, że autor wolał nie ujawniać swego nazwiska, występując jako bezimienny „historyk".

UWAGA WSTĘPNA

Pismo „Züricher Vollesrecht" podało niedawno wiadomość, że w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech został aresztowany jeden z zabójców Liebknechta, były porucznik marynarki Ulrich von Rüttgen. Są dalej wiadomości, że drugi morderca, albo co najmniej uczestnik mordu kapitan-porucznik v. Pflugk-Hartung znajduje się w angielskich rękach jako jeniec wojenny. Wreszcie ustalono, że trzeci ze współdziałających niegdyś w morderstwie oficerów, prawdopodobnie właściwy organizator mordu, major Waldemar Pabst — jeszcze żyje, prawdopodobnie gdzieś w Szwajcarii, w każdym razie w zasięgu sądów narodów sprzymierzonych. Byłoby niesłychanie ważne, aby oskarżenia przeciwko tym trzech obwinionym połączyć w jeden proces. Nie tylko po to, aby zadość uczynić pogwałconej sprawiedliwości, ale przede wszystkim dlatego, że wznowienie tego procesu odkryłoby związki o pierwszorzędnym znaczeniu dla tworzenia się, działania i schyłku Republiki Weimarskiej i powstawania Trzeciej Rzeszy. Mogą też one wyjaśnić nam wiele rzeczy dotyczących teraźniejszości i przyszłości Niemiec.

MORDERSTWO

W początkach stycznia 1919 złożenie z urzędu berlińskiego prezydenta policji, Eichhorna, należącego do niezależnej Socjaldemokracji wywołało za sprawą Socjalistów Większości (Mehrheitssozialisten) wspólne działania Niezależnych i Spartakistów, które rozpoczęły się strajkami i demonstracjami i wkrótce doprowadziły do ciężkich walk ulicznych.

Jest rzeczą niemożliwą zobrazowanie tutaj pojedyńczo tła i przebiegu wszystkich tych walk, rozstrzygających dla losu niemieckiej rewolucji. Musimy się ograniczyć do stwierdzenia, że gabinet większościowo - socjalistyczny Ebert — Scheidemann, w którym Noske piastował tekę ministra wojny, postawił sobie za zadanie nie tylko wzięcie w swoje ręce berlińskiego prezydium policji, ale także przeforsowanie swej władzy za pomocą wszystkich rozporządzalnych środków. Robotnicy — nawet zrzeszeni w partii większościowo - socjalistycznej odmówili posłuszeństwa w krwawej walce bratobójczej, szukając raczej porozumienia z mniejszością komunistyczno - niezależną na drodze rokowań. Rząd, który nie wierzył w możliwość jakiegoś bezkrwawego wyjścia z sytuacji, i którego głowa już bezpośrednio po rewolucji weszła w styczność z generałami starej armii, a przede wszystkim z gen. Groenerem — uczynił fatalne posunięcie, wzywając na pomoc oficerów dla stłumienia przemocą powstania. Tym samym zostały rozstrzygnięte nie tylko walki uliczne, ale także los niemieckiej republiki. Oficerowie „Freikorps", którzy zdobywali Berlin w imieniu socjal demokratycznego rządu nie myśleli bowiem ani przez chwilę o przekazaniu mu władzy, a rząd nie dysponował przeciw nim żadnymi środkami siły, właśnie dlatego, że robotnicy byli wtenczas pobici i rozbrojeni. Noske mógł się chełpić, że pokonał w Niemczech „bolszewizm" — w rzeczywistości zamordował jednocześnie niemiecką republikę.

Między „Freikorps", które nadciągnęły do Berlina, główną rolę odgrywała Garde-Kavallerie Schützendivision pod rozkazami Generała - Porucznika Hoffmann'a, jego szefem sztabu był ówczesny kapitan Pabst.

Oddział ten nie uważał w żadnym wypadku swego zadania za ukończone wraz ze zdobyciem Berlina; coprawda bitwa była wygrana, ale duchowi przywódcy, przede wszystkim przywódcy związku Spartakusa, Róża Luksemburg i Karol Liebknecht nie zostali jeszcze unieszkodliwieni. Wiedziano, że nie uciekli, ponieważ artykuł Róży Luksemburg ukazał się w „Czerwonym Sztandarze" 14. a Karola Liebknechta 15 stycznia, oboje jednak zniknęli z areny publicznej. Można przy tym przyjąć, że służba wywiadowcza dywizji była przez swój wywiad poinformowana o ich miejscu pobytu. Inaczej nie dałoby się wyjaśnić, jakim sposobem 14 stycznia w Wilmersdorfie zachodnim przedmieściu Berlina, zostały rozklejone plakaty, nawołujące do zamordowania Liebknechta, i że oboje zostali zaaresztowani w mieszkaniu w tymże Wilmersdorfie przez Straż Obywatelską (Einwohnerwehr) burżuazyjną wojskową formację wojskową. To „aresztowanie" nastąpiło wbrew jakiemukolwiek prawu i zasadzie, ponieważ nie przedłożono żadnego rozkazu aresztu. Tak samo wbrew jakiemukolwiek prawu i zasadzie aresztowani nie zostali przekazani policji ani sądowi, lecz Garde-Kavallerie-Schützen - Dywizji, której sztab miał swoje siedlisko w hotelu Eden, w pobliżu Ogrodu Zoologicznego w zachodniej części Berlina. Tu bardzo prędko dokonał się los obojgu.

Bezpośrednio po ich dostawieniu Karol Liebknecht i Róża Luksemburg zostali przesłuchani przez Pabsta. W tym czasie komendant Dywizji, generał v. Hofmann znajdował się w hotelu Eden i był o ich byciu powiadomiony. Można przyjąć jako pewnik, że zasięgał on wskazówek u innej wyższej instancji. Jak te wskazania brzmiały, można wywnioskować z tego, że kapitan v. Pflugk-Hartung, prawa ręka Pabsta, sprowadził na pomoc swego brata, kapitana-porucznika z grupą oficerów marynarki, którzy należeli do innego „Freikorpsu".

Gdy grupa ta przybyła, było już ciemno. Około godz. 10-ej został odtransportowany najpierw Liebknecht. Zaledwie minął on główne wejście, został powalony kolbą przez posterunkowego, huzara Runge. Ciężko ranny, może już umierający, został wród dalszych ciosów wepchnięty do auta, w którym zajęli miejsca obaj Pflugk-Hartung'owie (kapitan porucznik miał kierownictwo transportu) nadporucznicy marynarki — Stiege i v. Rüttgen, oraz porucznik marynarki Bruno Schulz. W pogrążonym w noc ogrodzie zoologicznym został wtedy Liebknecht zamordowany trzema wystrzałami. Tego samego wieczora o godz. 11.20 ciało jego zostało odesłane do stacji wypadków (Unfallstation) przy ogrodzie zoologicznym, jako zwłoki osobnika nieznanego nazwiska.

W pół godziny po Liebknechcie została wyprowadzona Róża Luksemburg; przy boczny wyjściu, gdzie stało oczekujące ją auto, powalił ją ten sam huzar, który już był przewidziany do tej czynności przy odtransportowaniu Liebknechta. Nieprzytomną bił jeszcze przez dłuższy czas. Bucik, który przy tym zgubiła był podawany wkoło jako trofeum.

Kierownikiem transportu w tym wypadku był nadporucznik Kurt Vogel; z towarzyszących osób zostali jeszcze rozpoznani tylko porucznik rezerwy Rudolf Liepmann i jeden żołnierz nazwiskiem Weber. Można przypuszczać, że podczas jazdy byli obecni jeszcze inni oficerowie (porucznik Krull, por. Suchong i inni), nie zostało to jednak dokładnie ustalone. Zaledwie auto ruszyło, zabrzmiał strzał: Vogel strzelił do leżącej w aucie i trafił ją w głowę. Gdy podjechano do kanału Landwehry, stacjonująca tam straż chciała strzelać, uspokoiła się rychło, gdy jej wyjaśniono, jaki ładunek kryło w sobie auto.

Zwłoki zastrzelonej zostały później rzucone w ogień. Według innej, nigdy całkowicie nie wyjaśnionej wersji zostały przeniesione do szopy przy Joachimsthaler Gimnazjum i pozostawały tam do czasu, aż w odpowiednim momencie „znaleziono" je w kanale Landwehry.

ODKRYCIE MORDU

Chociaż oficerowie pracowali za pomocą metod, które w sposób widoczny zdradzały szkołę niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu przestępstwo ich nie pozostało długo w ukryciu. Jeszcze w nocy z 15 na 16 stycznia zostały rozpoznane zwłoki Liebknechta i pogłoski o jego gwałtownej śmierci z szybkością błyskawicy rozeszły się po mieście. Dywizja opublikowała na to przez swego „szefa prasy" doktora Fritza Grabowsky'ego (nie mylić z dr Adolfem Grabowsky'm) „wyjaśnienie", że Liebknecht miał być przeniesiony do więzienia śledczego, ale że na skutek katastrofy samochodowej musiał kawałek drogi iść pieszo; wtedy dokonał próby ucieczki i w związku z tym został zastrzelony. Różę Luksemburg zlynczować miał natomiast rozwścieczony tłum i powlec ze sobą jej zwłoki przy próbie jej odtransportowania. Za jedyne przestępstwo oddziału Dywizja uważała zaniedbanie w strzeżeniu uwięzionej i odpowiedzialny za to oficer oczekiwał — według wyjaśnienia — wymiaru kary.

Jeśli kiedykolwiek kłamstwo miało krótkie nogi to napewno tym razem. Nie upłynęły jeszcze 24 godziny i wszystkie możliwe zeznania świadków — gości hotelowych, personelu, samych członków jednostki wreszcie — złożyły się na rzeczywisty obraz zbrodni. Byłoby rzeczą łatwą ustalenie zabójców i wymierzenie im zasłużonej kary.

ŚLEDZTWO

Śledztwo zostało oddane w ręce odnośnego oficera sądowego dr Kurtziga, który natychmiast przystąpił do pracy i w zrozumieniu politycznego znaczenia sprawy zażądał dokooptowania przedstawicieli rad robotniczych. Zostało mu przydanych dwóch niezależnych — Rusch i Wegmann z wielkoberlińskiej Rady Wykonawczej (Gross Berliner Vollzugsrat) i jeden socjalista większości Struve, z ramienia Rady Centralnej (Zentralrat).

Ale gdy tylko pismo socjalistów większości, „Naprzód", opublikowało rzekomą wypowiedź przywódcy niezależnych, Hugona Haase, jakoby znał Kurtzig'a jako człowieka ze wszech miar godnego zaufania, dywizja zwietrzyła niebezpieczeństwo. Pabst rozpoczął swą pracę.

Przede wszystkim przydzielono Kurtzigowi drugiego prawnika „dla odciążenia", ów zaś radca sądu wojennego Jorns w ciągu niewielu dni wykazał tak świetnie swą przydatność, że można było wyłączyć Kurtziga. Następnie odrzucono podanie wniesione w imieniu rodziny do rządu przez adwokata Teodora Liebknechta o zdjęcie sprawy sądowi wojskowemu i przekazania jej bezpartyjnemu sądowi.

Rząd umotywował swoją decyzję tym, że jest związany cesarskimi prawami wojennymi i dlatego nie może nic zmieniać w ich kompetencjach.

I oto rozpoczęła się gra z rozdanymi rolami, przeprowadzona tak po mistrzowsku, że wszystkie wysiłki aby ją udaremnić spełzały na niczym. Każda okoliczność, każdy wyłom zostają wykorzystane, każda osoba zbadana, ostrożność kojarzy się z bezczelnością. To nie dyletanci, to fachowcy pierwszej klasy zorganizowali to widowisko i — ze swego punktu widzenia — ukształtowali na miarę świetnej komedii. Czy historia kiedykolwiek odkryje, komu należy się w tej grze palmę pierwszeństwa — niewiadomo. W każdym razie współpraca takich sił, jak Pabst i Canaris gwarantowała wspaniały sukces. Przede wszystkim należało wykorzystać fakt, że według cesarskiego prawa wojskowego oskarżeni wojskowi musieli być sądzeni przez nadzwyczajny sąd wojenny, od którego wyroków nie było odwołania. Stąd też wszyscy zaangażowani w zbrodni musieli się przeobrazić w wojskowych, nawet gdy, jak w wypadku nadporucznika Vogel'a, byli już zdemobilizowani. Poza tym musieli zniknąć współwinni, na których nie można było bezwzględnie polegać. W tym celu przeniesiono huzara Runge do innego oddziału. Poza tym w miarę możności zatykano świadkom usta za pomocą pieniędzy, obietnic, pogróżek.

Dalszą koniecznością było pozbycie się członków Rad jak również przedstawicieli rodziny. O to postarał się jak najlepiej Jorus. Do obdukcji zwłok Liebknechta zostali coprawda jeszcze wezwani przedstawiciele rodziny i Rad; kiedy się jednak okazało, że Liebknecht otrzymał nie tylko trzy postrzały, ale że także została zmiażdżona podstawa czaszki i że mózg doznał upływu krwi od ciosów kolby, tak że rzekome usiłowanie ucieczki wyglądało na rzecz absolutnie niewiarygodną, gdy także i wówczas nie nastąpiło aresztowanie — przedstawiciele rodziny sami odmówili dalszego współdziałania, a po kilku tygodniach bezowocnej walki z sabotażem Jornsa to samo uczynili przedstawiciele Rad, nie chcąc uchodzić za współwinnych.

I to wszystko nie uchodzi uwagi opinii publicznej, dowiaduje się ona między innymi, że Jorns przeniósł swą urzędową siedzibę do hotelu Eden, że każdy z jego listów przechodzi przez kontrolę kapitana Hartunga, że radzi nad każdym ze swych kroków z kapitanem Pabstem. Minister Sprawedliwości Rzeszy Landsberg i pruski minister sprawiedliwości Heine, obaj większościowcy, próbują pisemnie i ustnie wpłynąć na Jornsa, uchylając się jednak od oderwania z jego rąk śledztwa, gdy przedstawiciele Rad zwracają się do niego o interwencję. Uzasadniają to faktem, że jako osoby cywilne nie posiadają żadnej władzy w stosunku do Jornsa a na zewnątrz zachowują trwożliwe pozory, by nie mieszać się w dość niewyraźną sprawę. Noske jednak wykazuje więcej odwagi: gdy Pabst 17 lutego odprawia wesele, — posyła mu serdeczne życzenia pomyślności.

Ostatecznie jednak trzeba przedstawić coś namacalnego zaniepokojonej opinii publicznej. Usiłowano już wmówić jej trochę za wiele. Fotografia z „Uroczystości Zwycięstwa" urządzonej w piwnicy hotelu „Eden" po ponownym morderstwie została opublikowana w „Czerwonym Sztandarze". 16 lutego wycofanie się przedstawicieli Rad dociera do publicznej wiadomości, 28 lutego „Czerwony Sztandar" podaje miejsce pobytu mordercy Runge, rzekomo nie dającego się odnaleźć, 1 marca wyjawia „Wolność", że Vogel jest czynny przy rozdawnictwie broni. Jorns czuje się zobowiązany przystąpić do działania. 11 marca aresztuje obydwu Pflugk - Hartungów, Vogla i Liepmanna a 17 kwietnia huzara Runge. Ich więzienie nie przedstawiało się zbyt groźnie. Drzwi stały otworem kapitan-porucznik Pflugk-Hartung miał w celi broń, odwiedzający przychodzili i wychodzili bez kontroli — nie ostatni też stawili się w więzieniu Pabst i Canaris — a

ponad tym wszystkim trzymali swą opiekuńczą rękę Jorns i jego przełożeni.

Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że były kapitan - porucznik Canaris, który podczas pierwszej wojny światowej należał do niemieckiej służby wywiadowczej ustalał podczas tych rozmów zachowanie się poszczególnych oskarżonych w dalszym toku rozprawy.

Jak poważnie te aresztowania były traktowane przez sąd ilustruje fakt następujący: Jorns idąc kiedyś wieczorem jakąś ulicą w pobliżu hotelu „Eden" spotkał „aresztowanego" porucznika Liepmanna w drodze do baru. Nie wziął mu tego zresztą za złe. Ale zachowując ów zadziwiający zmysł porządku, który pozwala tak wielu Niemcom prowadzić dokładnie nawet księgę własnych przestępstw zapisał to i zdeponował w kancelarii sądu.

ROZPRAWA

Gdy Runge został wreszcie aresztowany, Jorns nie mógł już dłużej odwlekać zakończenia śledztwa. Wezwał do siebie huzara i zapewnił go wpierw po ojcowsku, że nie potrzebuje się niczego obawiać — gdyż panowie oficerowie zaopiekują się nim i jego rodziną, jeśli...

To „jeśli" zostało wbite Rungemu w głowę dostatecznie jasno podczas jego pobytu w więzieniu: niech tylko na litość boską nie mówi prawdy, im więcej będzie kłamać, tym lepiej, im bardziej nieprawdopodobne będą jego zeznania, im lepiej grać będzie półgłówka, tym łatwiej będzie mógł ujść bezkarnie z powodu swej niepoczytalności. Teraz można było podnieść kurtynę. Rozprawa była konsekwentną kontynuacją śledztwa. Jeśli Jorns czynił wszystko, aby zatrzeć ślady, to przewodniczący rozprawy, radca sądu wojennego Erhard dokładał wszelkich starań, aby ich nie odkryć.

W tym usiłowaniu nie przeszkadzał mu nikt: obok prawnika, radcy wojennego Meyer'a, znajdowali się przysłani z Dywizji: Canaris, który (jako najstarszy rangą objął przewodnictwo), przedstawiciel korpusu oficerskiego Ernst i kirasjer Chimilowski jako ławnicy. Jako obrońcę wybrano adwokata Grünspachu; antysemityzm nie grał wtedy jeszcze tej samej roli co później. Przecież oskarżony Liepmann był również Żydem.

Wszystko szło jak w zegarku. Runge kłamał, dosyć krzykliwie, oficerowie czynili to spokojniej. Świadkowie zaś w ciągu czterech miesięcy, które upłynęły od chwili mordu, otrzymali dostateczną poglądową lekcję, że Garde Kavallerie-Schützendyvision była potęgą, której niełaska zagrażała życiu. Po morderstwie, popełnionym na Róży Luksemburg i Liebknechcie, przyszła kolej na Eisnera, po walkach styczniowych miały miejsce walki marcowe w Berlinie — i nie tylko Berlin, ale i Monachium, Hamburg oraz zagłębie Ruhry poczuły pięść wojskową. Nic więc dziwnego, że świadkowie byli niezbyt pewni siebie.

Nadporucznik Vogel przeżył mimo to kilka ciężkich chwil, kiedy świadek Weber zeznawał pod przysięgą, że wyczuł wyraźne drgawki przyciśniętego do niego w aucie ciała Róży Luksemburg kiedy Vogel wpakował jej kulę w skroń. Ale w przypadku Liebknecht'a oficerowie byli prawie wyłącznie w swoim kółku, to że szofer, jedyny nie oficer w tym towarzystwie, otrzymał wkrótce po zbrodni 500 RM od Pflugk-Hartunga sąd uznał tylko za dowód dobrotliwości pana kapitana. Szczególnie, że nie znał on wcale tego szofera a zatem nie działał pod wpływem osobistych sympatii. Równie znikomą rolę odgrywał fakt, że wykazano dalsze wypadki wpływania na zeznania świadków, że pełnomocnicy rad wykazali sabotowanie swej pracy przez Jorns'a i to, że ujawniono niezmiernie wiele sprzeczności i niejasności. Niech jeden przykład starczy za wiele innych: jako dowód na autentyczność próby ucieczki Liebknechta przytoczono, że Liebknecht skaleczył porucznika Schulza w rękę, tak, że ten po odesłaniu zwłok kazał sobie opatrzyć rękę na stacji ratunkowej. Nóż, którym Liebknecht miał rzekomo posłużyć się przy tym uczynku nie został przedstawiony. Każdy zeznawał co innego — że widział ten nóż, że go nie widział, że został on oddany w stacji ratunkowej, w dywizji, krewnym. Jedyną jako tako pewną wypowiedzią było zeznanie służącego w stacji ratunkowej, że widział nóż leżący na stole, ale bez jakichkolwiek śladów krwi. Ani prokurator, ani trybunał sądowy nie zatroszczyli się o tę okoliczność.

WYROK

Prawie tydzień trwała ta tragikomedia sprawiedliwości. Wreszcie mógł Jorns postawić swój wniosek o ukaranie. W ufnym oczekiwaniu, że sędziowie będą dobrze funkcjonowali, zażądał nie mniej tylko czterech wyroków śmierci: dla kapitana porucznika Pflugk-Hartunga, dla Hiegel'a, Liepmanna i Rüttgen'a, dla Vogla zażądał 5 lat i jednego miesiąca więzienia karnego, dla Rung'ego trzech lat i sześciu miesięcy więzienia, dla niejakiego kapitana Wellera, który przyczynił się do usunięcia zwłok Róży Luksemburg, 3-ch miesięcy więzienia, dla kapitana Pflugk-Hartunga i Schulza — uniewinnienia.

Sąd nie zawiódł oczekiwań i skazał Vogla na dwa lata i cztery miesiące i Rung'ego na dwa lata i dwa miesiące więzienia, Liepmanna na sześć tygodni obostrzonego aresztu. Pozostali oskarżeni zostali uniewinnieni. Tym wyrokiem, od którego nie było apelacji, załatwiono sprawę: jak zdołałem stwierdzić, sąd cywilny skazał jeszcze tylko jednego byłego członka dywizji na miesiąc więzienia i tydzień aresztu za złe obchodzenie się z Różą Luksemburg i Liebknechtem. Starania rodziny, aby wyjaśnić stan rzeczy w formie skargi o wynagrodzenie szkody drogą procesu cywilnego zostały udaremnione przez dekret z dnia 21 marca 1920 roku, który wykluczał drogę prawną do takich skarg.

UCIECZKA

Zaledwie wzburzenie opinii publicznej nieco przycichło nastąpiła nowa sensacja: 19 maja dywizja ogłosiła meldunek, że 17-go Vogel zbiegł z więzienia. Następnego dnia adwokat należący do USP i delegat Reichstagu Oskar Cohn, oświadczył, że jeszcze w dzień wyroku — a więc 14 maja zawiadamiał ministerstwo wojny i kancelarię państwową o uplanowanej ucieczce. Noske odpowiedział na to jak obrażona niewinność, że przecież jego własne rozporządzenie zwracało uwagę odnośnych władz na grożące niebezpieczeństwo. W swoim mniemaniu spełnił on swój obowiązek, a to, że ktoś go nie wypełnił i za to powinien być pociągnięty do odpowiedzialności, wydaje mu się wręcz nie do wiary.

Brak tu miejsca, aby mówić o szczegółach tej równie bezczelnie jak zręcznie przeprowadzonego uwolnienia. Zwraca tylko uwagę, że jeszcze podczas procesu postarano się o paszporty dla głównych winowajców przy pomocy niemieckiej organizacji szpiegowskiej jaka działała na terenie komisji dla spraw zawieszenia broni, pozostającej pod kierownictwem Erzbergera. Jak później zeznawał Liepmann, miał się o to osobiście wstawić sam Erzberger — wynagrodzenie za to otrzymał w lśniących kulach rewolwerowych. Najbardziej groteskową rzeczą w tych paszportach zaopatrzonych w autentyczne fotografie było to, że musiały być one osobiście złożone, podpisane i odebrane w policji, ministerstwie spraw zagranicznych i holenderskim poselstwie i, że oskarżonym choć byli „aresztowani" dano możność załatwienia tych spraw podczas przerw w procesie.

Sama ucieczka odbyła się w sposób zdumiewająco prosty. Oficer, nazwiskiem Lindemann, który z powodu swych nadużyć na placówce państwowej miał wszelkie powody do opuszczenia Niemiec poszedł do więzienia z autentycznym dowodem osobistym i rozkazem opatrzonym łudząco podobnym podpisem Jornsa (skąd też mógł on pochodzić?), ażeby przenieść Vogla do innego więzienia. Auto należące do Dywizji „przeniosło" obydwu do Holandii, gdzie Vogel wypłynął pod nazwiskiem Kurta Nolsen'a, aby wkrótce stamtąd podążyć do Argentyny.

Po tym piorunującym efekcie nie zwrócił już prawie niczyjej uwagi, fakt, że kapitan-porucznik Pflugk-Hartung drugiego czerwca przekroczył granicę duńską.

ZNALEZIENIE CIAŁA RÓŻY LUKSEMBURG

Tego samego dnia drugiego czerwca znaleziono ciało Róży Luksemburg, podobno w kanale Landwehry i przyniesiono je do trupiarni. Stamtąd, pomimo, że obecny był przy tym przedstawiciel kryminalnej policji dla zbadania zbrodni, Schützendiwizion kazała przetransportować ciało z Berlina do pobliskiego obozu wojskowego. Dopiero na sprzeciw radcy sądu wojskowego Erhardta, ciało zostało podobno napowrót sprowadzone do Berlina, gdzie dokonano sekcji. Wynik obdukcji nie mógł wyjaśnić wszystkich zagadek, ale ustalona została rzecz najważniejsza: czaszka nie była zgnieciona, głęboko idąca w mózg rana od strzału zdawała się śmiertelna. Nie Runge, ale Vogel był mordercą.

EPILOG

Nie był to jednak koniec tej tak sensacyjnej i zagadkowej tragedii. Opinia publiczna była raz po raz poruszana nowymi wydarzeniami. Kapitan Pflugk-Hartung zginął od wybuchu ręcznego granatu, umieszczonego przy drzwiczkach jego auta, a Pabst, który w międzyczasie awansował na majora, zrewanżował się za weselny telegram Noskego, urządzając w 1920 r. wspólnie z Kapp-Rebellem pucz przeciwko rządowi i ministrowi wojny. Ścigany przez listy gończe — przeniósł on swój teren działania do Austrii, gdzie został organizatorem Heimwehry — później, gdy jego nieporozumienia z nazistami kazały mu uważać powrót do kraju za niebezpieczny — do Szwajcarii. Nigdy przy tym nie zostało wyjaśnione na czym te rzekome nieporozumienia polegały. Canaris przeszedł do Urzędu Marynarki (Marineamt) Ministerstwo Wojny i piął się w karierze aż do rangi Admirała i szefa wywiadu. Pozornie zarysowały się między nim a nazistami różnice zdań po roku 1933 co do procedury spisku, mordowania i szpiegostwa. Huzar Runge, jedyny proletariusz w tym arystokratycznym towarzystwie poszedł w odstawkę; po co dotrzymywać mu danego słowa, może jeszcze dorzucać pieniądze, gdy z jego strony nie groziło przecież żadne niebezpieczeństwo. Wystrychnięty przez swoich kamratów na dudka, usiłował zrehabilitować się w ten sposób, że opowiadał pismom komunistycznym i niezależnym ze szczegółami jak go oficerowie do jego czynu namówili, a później

JERZY ZAGÓRSKI

WIERSZE*)

Wezwanie

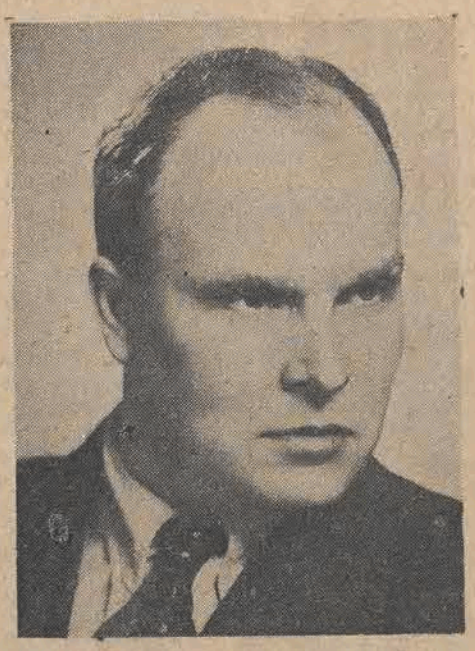

Przyśpiesz gąsienic łoskot,
Dolej benzyny do baków,
Niech koła wśród szos zgruchotanych
W dymnej wichurze wrą.
To Patton i Rokossowski
Idą ku sobie w bitw brzasku.
Godzina wyznacza plany,
Każda sekunda grom.

Nie przy zielonych stołach,
Lecz na wiosennym polu
Inny jest język żołnierza
Niż kręty gwar dyplomatów.
Gdy działo na czołgu woła
— I odpowiada samolot,
Wiosna do luf przymierza
Obłoki, jak kłęby kwiatów.

Wam, co ku sobie gnacie,
Nam, którzy w waszym wyścigu
Widzimy jak w złotym rzucie
Zbliża się jutr obfitość,
Im, kiedy śmierć w majestacie
Zamyka gmach ziemskich przygód,
Niech dnie krwią obrzękłe skróci
Okrutna litość.

1945 JERZY ZAGÓRSKI

Oda na spadek funta

Bandery z krzyżami na krzyż,
Bandery z barwami królestw
Łopocą jeszcze gniewnie na okrętach, okrętach i brygach
I Liwerpool drażni niebo lasem żurawi, który w mglistość ruchomo wystrzela
Ale na gmach parlamentu inaczej cudzoziemcze dziś patrzysz.

Schody, po których wleczono Cromwella,
Są tak samo historią jak legenda giełdy londyńskiej, która rozwiana tu jest
I gdzieindziej się dzisiaj rozstrzyga.

Po to żebyśmy mogli przy książęcych i admiralskich grobach
obojętnie oglądać wieki, które czas nadchodzący przeróśl,
Katedro Westminsteru
już nie jesteś katedrą globu.

Strajk generalny jakże przepłoszył fraki z kin w Picadilly
Earlów, bokserów i pułkowników siostry w kolach i fanstatycznych toaletach
Raso rosłych górali szkockich i angielskich korsarzy, przy bryzie
Płynących na morze rozgrane w żaglami niesionych korwetach
Na Wiktoryj i Elżbiet armadach armatami dających ukłony,
Czyli się czas twój przesilił?
Czy tylko stanęły kolei podziemnych wagony,

Windy, chodniki i schody ruchome
I woda stalowa w Tamizie.

Przez asfaltowe drogi polne Walii idzie milion ludzi niezadowolonych,
Gipsowymi oczami patrzą gipsowe posągi i mumie w British Muzeum;
Pod flagami nowymi: Kanady, Australii, Transwalu
Na parowcach żegnamy Brytanię starą.
Nikną nam okręciki z kości baraniej
Wycinane przez żołnierzy Napoleona
Jeńców z pod Trafalgaru
I niknie wyspa nad którą wiatr z oceanu wieje mokry i słony.
Salutujemy hymny.
Duke of Connaught szuka po Arrow parku ulubionego psa.

1931

Zachód słońca na Bielanach

Niebo tylu kolorów... Gdy włoscy malarze
Niegdyś tu sprowadzani nad brzegi wiślane
Ujrzeli twe czerwienie nad sobą rozlane,
Które ty latem siejesz w nadrzecznym oparze,

A wyżej, nad czerwienią i groźnym fioletem
Widzieli w wieczór jasny różowość atłasu
I błękit rokokowy i zieleń swych czasów,
O. — w jakim uniesieniu chwytali paletę

By królowi smutnemu, dworom wielkopańskim
Zmierzch, co pięknem klasyczniał, uczynić szczęśliwszy:
Portrety podbijali niebem nadwiślańskim.

Patrzy na ten horyzont dziś oko prawnuka,
Co wszystko musi zdobyć, nic sam nie strwoniwszy
I spadku jedynego w krajobrazie szuka.

Latem 1939

*) Z tomu poezyj „Wieczór w Wieliszewie", który ukaże się wkrótce nakładem „Książki".

przećwiczyli z nim jego fałszywe zeznania. Niemieckie sądownictwo nie reagowało — jedyny skutek był ten, że pozwolono mu zmienić nazwisko. Podobny los spotkał Liepmanna, który został z powodu swej „rasy" odepchnięty przez kolegów i który przez gorzkie doświadczenie osobiste zrozumiał do czego go użyto. Tu i ówdzie wypłynęły także nowe postaci, jak ów „porucznik" Krull, który prawdopodobnie siedział z Voglem w aucie i współdziałał w zamordowaniu Róży Luksemburg. Usadowił się on później w jej mieszkaniu, przeprowadzał rewizje domowe i aresztował na prawo i lewo ludzi, których nazwiska znalazł w listach, albo papierach zamordowanej. W ten sposób w pewne popołudnie zawarł z nim znajomość Karol Kautsky. Później okazało się, że te rewizje „domowe" przyniosły Krullowi osobiście pokaźny dochód. Został przyłapany na tym, jak chciał sprzedać zegarek stanowiący własność Róży Luksemburg. Przy tej okazji wykryto, że był on hochsztaplerem, który sam zamianował się z wachmistrza na porucznika. O zaangażowanych w zbrodni osobach cywilnych nie dowiedziano się więcej niczego przeciwko członkom wilmersdofskich Straży Obywatelskich (Einwohnerwehren), którzy wbrew prawu zaaresztowali Liebknechta i Różę Luksemburg, i jeszcze bezprawniej wydali ich żołnierzom, zostało jeszcze raz wdrożone postępowanie sądowe. Jednemu człowiekowi sądzone było jednak wstąpić w światło kinkietów opinii publicznej—i tu miał miejsce jedyny nieszczęśliwy wypadek w funkcjonowaniu całej tej sprawy: radca sądu wojennego Jorns zaawansował niepostrzeżenie (jak się tego zresztą mógł po swoich zasługach spodziewać) został radcą najwyższego niemieckiego trybunału sądowego — w Sądzie Państwowym Rzeszy (Reichsgericht). Na tym stanowisku wyróżnił się w jednym z licznych procesów przeciw zdradzie stanu, które pozostaną wieczną plamą hańby niemieckiego republikańskiego sądownictwa przez specjalną surowość w stosunku do oskarżonych, a mianowicie w procesie Küster'a i Jacob'a. Przy okazji tego procesu ukazał się w piśmie „Tagebuch" w r. 1928 artykuł, przypominający rolę Jornsa w procesie Liebknecht — Luksemburg w tak wyraźny sposób, że Jorns zmuszony był wnieść skargę o zniesławienie. Przebieg tego w kwietniu 1929 roku przeprowadzonego procesu stał się katastrofą nie tylko dla niego osobiście, ale także dla oficerów, ich opiekunów i zleceniodawców. Paweł Levi, przyjaciel i adwokat Róży Luksemburg był obrońcą oskarżonego redaktora. Niewiadomo, co bardziej należy w nim podziwiać: czy prawniczą zręczność i znajomość rzeczy, czy gorącą polityczną namiętność — obie razem czyniły go straszliwym oskarżycielem wspólnika morderców. Punkt po punkcie zostało udowodnione Jorns'owi na podstawie jego własnych akt, jak naruszył swe obowiązki i sprzyjał oskarżonym. Dowód wypadł dlań tak miażdżąco, że oskarżony redaktor został uniewinniony. Jorns dostał urlop. W przebiegu apelacji osiągnął jedynie tę satysfakcję, że redaktor (za zniewagę władzy) został skazany na grzywnę 100 RM. Ale to późne i niepełne zwycięstwo sprawiedliwości zażądało ofiary: Paweł Levi umarł podczas rozprawy apelacyjnej na atak serca.

LEKCJA DLA WSPÓŁCZESNOŚCI

Gdy dzisiaj spoglądamy wstecz na rozwój tamtych wypadków, nabieramy przekonania, że zbrodnia ta była czymś więcej niż wyżyciem się bydlęcej żądzy zemsty u żołdaków pozbawionych wszelkich uczuć ludzkich. Róża Luksemburg i Karol Liebknecht byli pierwszymi na długiej liście ofiar, jakich zażądała kontrrewolucja. Eisner i Haase, Erzberger i Rathenau to tylko parę nazwisk, do których dołączyć by należało wiele innych. Wszystkie te czyny zostały przeprowadzone zapomocą tych samych metod, sprawcy pochodzili wszyscy z tego samego — kręgu, co pozwala wnioskować o tych samych podżegaczach, nawet gdy oni sami pozostają w cieniu. **Główne role grają stale oficerowie**, po większej części o pochodzeniu szlacheckim, noszący nazwiska należące do najbardziej znanych rodów oficerskich i urzędniczych cesarstwa. Dość wskazać na Pflugk-Hartunga i Suchonga i ich udział w morderstwie Liebknechta lub na grafa Arco przy zabójstwie Eisnera. **Nie jest prawdą, że naziści wprowadzili polityczny mord do Niemiec — uczynili to niemieccy oficerowie, którym Ebert i Noske oddali władzę do rąk.** Już w czerwcu 1919 r. mógł stwierdzić Theodor Liebknecht jako obrońca w procesie Ledebour'a: „Istnieje w Niemczech klika, która uprawia systematycznie mordowanie politycznych przeciwników". Bezsprzecznie zarzut ten nie dotyczy wszystkich oficerów, z pewnością jednak odnosi się do koła oficerów sztabowych i kierowników wywiadu, którzy tak jak Ludendorff lub Nikolai już podczas pierwszej wojny światowej uważali każdy środek za dozwolony i poczytywali lekceważenie wszystkich pojęć moralnych za konieczne. Z pierwszej wojny światowej jest dosyć przykładów na podstęp, okrucieństwo i nałogowe łamanie oficerskiego słowa. Ta trucizna wżarła się już przed rokiem 1914 w korpus oficerski, szerzyła się podczas wojny, zarażając szerokie kręgi, które bismarkizm uczynił podatnymi na jej przyjęcie. Odpowiadała zakresowi pojęć, w których korpus oficerski został wykształcony. Byli to ci sami oficerowie, którzy później hodowali nazistów i pomagali im w zdobywaniu władzy, ponieważ widzieli w nich pożyteczny instrument dla swych planów dozbrojenia Niemiec i wywołania nowej wojny rewanżowej. Że później Hitler prowadził swoją wojnę, a nie wojnę uplanowaną przez generałów, nie zmniejsza winy oficerów, przeciwnie — obciąża ich jeszcze ponadto zarzutem zupełnej politycznej niezdolności, która pozwalała im widzieć w Hitlerze politycznego geniusza.

Po roku 1918, kiedy niemiecka armia przegrała pierwszą wojnę światową, gdy nie tylko „Najwyższy Dowódca", ale także wysocy generałowie uciekli z Ludendorffem na czele, zdawało się, że niemiecki korpus oficerski nigdy nie naprawi tej utraty prestiżu. Druga wojna światowa została przegrana jeszcze haniebniej. Niezdolność niemieckich generałów zadokumentowała się niemal na wszystkich polach w sposób zadziwiający. Tak, okazało się, że nie są zdolni nawet zamachu doprowadzić do skutku. Canaris w swoich ostatnich godzinach, zanim go Hitler kazał powiesić mógł dowoli rozmyślać o tym jak prostą było rzeczą kazać „rozwalić" Liebknechta i Różę Luksemburg.

Współczesność przygotowuje za to jemu i jego kompanom osobliwe zmartwychwstanie. Nienawiść przeciw Hitlerowi zbyt późno rozpoznanemu jako tuszer i partacz, usiłowanie utrzymania niemieckiej machiny wojennej w stanie nietkniętym dla przyszłych celów spowodowały, że pewna część oficerów, którzy niegdyś dopomogli Hitlerowi do wydźwignięcia się, szuka kontaktów z prawdziwymi siłami oporu, zwalczającymi nazim ze względów zasadniczych.

Ze stosów trupów bojowników o wolność i godność ludzką chce się oto wystawić pomnik spiskowcom i mordercom, grabarzom republiki i tego co było w niej najlepsze. Powstaje nowa legenda o pchnięciu sztyletem w plecy. Jeśli w pierwszej wojnie światowej Żydzi i marksiści, to w drugiej Hitler przeszkadzał generałom w zwycięstwach. Jest najwyższy czas, aby powstrzymać wzrost tej nowej legendy, nie pozwolić na czynienie z jakiegoś tam Canarisa męczennika niemieckiej wolności. Czas rozpoznać niemieckich oficerów w prawdziwym świetle. Powstaje cała literatura, która chce wykazać, że niemiecki ruch oporu znalazł oparcie tylko u oficerów, podczas gdy klasa robotnicza zawiodła. Niemieccy generałowie, którzy podczas wojny milczeli wobec wszystkich łotrostw nazistów, mieli czelność błagać o łaskę dla Jodla i Keitla.

I zdaje się, że w pewnych kołach sprzymierzonych propaganda ta nie przeszła bez sukcesu.

Najbardziej dobitnym znakiem ostrzegawczym jest jednak zachowanie się mordercy Erzbergera, Tillesena, przed sądem. Wobec przytłaczającego materiału dowodowego przyznał się on wprawdzie do popełnienia zbrodni, wzbrania się jednak uporczywie przed wymienieniem swych popleczników i zleceniodawców. Czy czyniłby tak, gdyby ta zbrodnicza organizacja całkowicie należała do przeszłości? Czy nie tkwi w tym najlepszy dowód, że organizacja ta **jeszcze dziś istnieje** i że oskarżony lęka się bardziej jej kapturowego wyroku niż wyroku sądu? Jest już tylko logiczną konsekwencją tego stanu rzeczy, że sąd freiburski uniewinnił Tillesena przy pomocy prawniczych kruczków. Pragniemy wierzyć, że francuskie władze okupacyjne ocenią w pełni powagę tej sprawy i zaangażują całą swą energię w dalsze prowadzenie procesu. Idzie tu w rzeczywistości nie o pojedyńczy wypadek.

Ostrzegamy świat! Za błąd popełniony po pierwszej wojnie światowej, za to że niemiecki potencjał wojenny nie został całkowicie zniszczony, że uniemożliwiono odbudowanie go w jedyny dopuszczalny sposób, a mianowicie przez utworzenie rzeczywiście demokratycznych Niemiec — ludzkość odpokutowała krwawo. Nie może go popełnić po raz drugi!

I dlatego żądamy ponownego rozpatrzenia procesu dwojga zamordowanych; dopiero wtedy, gdy nieubłagana sprawiedliwość dosięgnie dziś jeszcze żyjących morderców i podżegaczy, będzie wolno powiedzieć, że szlachetna krew ich ofiar nie popłynęła na próżno.

TREŚĆ NR 16:

Wyniki ankiety, Jan Kott — **Wynalazek i duch,** Jan Baculewski — **Z doświadczeń kursów wstępnych do szkół wyższych,** Stanisław Gierowski — **Niestateczna współczesność,** Stanisław Szenic — **Potęga i wpływy kapitalizmu w obecnych Niemczech,** Jalu Kurek — **Pavana na śmierć Infantki,** Paweł Hertz — **Sedan (IV),** Zygmunt Kałużyński — **Uwagi o polskiej scenografii,** Anna Kamieńska — **Bajki Lucyny Krzemienieckiej,** Wanda Grodzieńska — **Książki dla młodzieży,** Ewa Korzeniewska — **Studium o Prusie,** Maria Janion — **Powieść o Grecji walczącej,** Juliusz Żuławski — **„Szczęście Frania" w Teatrze TUR w Łodzi,** Mariusz Margal — **Po klęsce Hollywoodu w Cannes, Przegląd prasy,** Jan Reychman — **Z zagadnień polskiej orientalistyki, Noty.**

ANKIETA

Jakich dziesięć książek z literatury polskiej

Z głosów czytelników uzasadniających potrzebę zbiorowego wydania dzieł **Adama Mickiewicza,** na którą to pozycję padła największa ilość (81) głosów w ankiecie:

L. B. Stud. U. Ł. „Na pierwszym miejscu spośród wznowień umieściłem „Dzieła wszystkie" Adama Mickiewicza. Jest to publikacja niewątpliwie obecnie najbardziej nam potrzebna. W każdym bowiem z państw europejskich istnieje zwykle kilka, jeśli nie kilkanaście krytycznych wydań wielkich poetów narodowych (za przykład służyć mogą choćby Niemcy z blisko 20 krytycznymi wydaniami dzieł Goethego), podczas gdy u nas, nie ma dotychczas ani jednego takiego, do którego odnoszono by się z zupełnym zaufaniem".

A. S. Warszawa „Społem", stojąc konsekwentnie na zajętym stanowisku, że dziełami, które wydane być powinny w pierwszym rzędzie są dzieła klasyków literatury polskiej, pisze:

„Mam kłopot z Mickiewiczem. Chciałbym podkreślić, że nie rozwiązują sprawy wszystkie mniej lub bardziej staranne wydania „Pana Tadeusza", „Konrada Wallenroda", „Grażyny": winien jak najszybciej ukazać się **cały Mickiewicz.** Musi być kontynuowane i doprowadzone do końca wielkie wydanie Sejmowe, musi nastąpić reedycja dużego wydania popularnego w rodzaju tego, jakie wyszło przed wojną w cyklu „Biblioteki Arcydzieł Literatury" z pamiętną przedmową Boya. W ten sposób winny być wydane dzieła Słowackiego..."

Czytelnik (czytelniczka?) z Olsztyna, która nadesłała odpowiedź pod pseudonimem „Szarotka" pisze:

„...niejasne co to znaczy" dziesięć książek". Czy jeżeli podam dziesięć tomów dzieł zbiorowych Mickiewicza, to czy to będzie 10 książek czy jedna?"...

S. L. Pabianice: „Należy wydać dzieła zbiorowe Mickiewicza. Zarówno poezje, jak wykłady z „Collège de France", jak przede wszystkim tak bardzo ważny dla dzisiejszego naszego spojrzenia na największego z polskich poetów zbiór jego artykułów z paryskiej „Trybuny Ludów". To jedyny sposób aby zwalczyć zakorzenione jeszcze do dziś i wszczepiane młodzieży przez mętniackich belfrów przekonanie, że Mickiewicz skończył jako mistyk i towiańczyk. Przeciwnie Mickiewicz to herold postępu, wielki rewolucjonista. Powinno się w Polsce znać lepiej „Trybunę Ludów"...

J. W. Radom: „Powinno wyjść zbiorowe wydanie dzieł wielkich narodowych poetów, w cenie przystępnej, w nakładzie kilkuset tysięcy egzemplarzy, aby mógł je nabyć każdy. Nie może być domu polskiego bez największych arcydzieł narodowej poezji"...

St. Zar. Warszawa: „Spośród dzieł wielkiej romantycznej trójcy wybieram utwory Mickiewicza i Słowackiego. Te gigantyczne postacie naszej literatury i naszej historii muszą być przyswajane i poznawane przez nadchodzące pokolenia w całości. Inaczej z Krasińskim, oraz z czwartym nieoficjalnym wieszczem polskiej poezji — Norwidem. Pierwszy był przeceniany, drugi — niedoceniany. W obu wypadkach wystarczyłby racjonalny wybór..."

B. Kor. naucz. Kraków: „Słowacki! Zdaję sobie sprawę, że nie żyjemy w epoce skłonnej do entuzjazmu dla twórcy „Króla Ducha". Ale przecież Słowacki to nietylko „Anhelli" — to także „Beniowski". To wielki myśliciel i wielki — laissez le mot — realista".

T. Jeżewski — Toruń: „W lekturze Słowackiego mało kto wychodzi poza okres pozycji wyznaczonych jako obowiązkowe i objętych programem szkolnym. Należy wydać i „Horsztyńskiego" i „Sen srebrny Salomei", „Samuela Zborowskiego" i „Króla Ducha", a nade wszystko „Beniowskiego". Należy to uczynić, choćby chodziło o pozycje najmniej „poczytne"...

Drugie miejsce w ankiecie Czytelników „Kuźnicy" (72 głosy) zajęli **„Ludzie bezdomni Stefana Żeromskiego.**

Maria Chwat stud. medycyny, Łódź—pisze:

„Wiele ukazało się książek Żeromskiego i nie wiem doprawdy, z jakiego to względu ta jedna nie ujrzała jeszcze naszych półek księgarskich. Jest to przecież jedna z najpiękniejszych naszych książek, głęboko ludzka i aktualna. Problem lekarza społecznika jest dzisiaj specjalnie dyskutowany, mimo że od romantyzmu doktora Judyma odeszliśmy już daleko".

Józef Trzęsicki — urzędnik Wrocław:

„Powieść „Ludzie bezdomni" powinna być najbardziej spopularyzowana. „Ludzie bezdomni" są pokoleniem społeczników, bojowników o nową Polskę, i o nowy świat, na nowych zasadach społecznych, nie uznają połowicznego załatwienia spraw ani półśrodków na znieczulenie bólów. Podejmują kategoryczną, bezkompromisową walkę. W walce swej są wzniośli i tragiczni... Nie widzą innego życia niż walka o dobro mas..."

Potrzebę wydania arcydzieła **Lwa Tołstoja „Wojna i Pokój"** (72 głosy) uzasadnia cytowana wyżej czytelniczka p. Maria Chwat, pisząc:

„Lew Tołstoj nie miał szczęścia do prawdziwie literacko wartościowego przekładu na język polski. Ze wszystkich jego dzieł to chyba jest najpiękniejsze i najbardziej nieśmiertelne. Epoka, ludzie, poglądy nigdy nie były chyba pełniej ujęte, niż w tej książce".

L. B. stud. U. Ł. Łódź: „Tołstoja „Wojna i Pokój" — jedno z największych dzieł, jakie kiedykolwiek napisano o wojnie, a zarazem i pierwsze trafne ujęcie postaci Napoleona. Bohater spod Austerlitz i Marengo stracił nareszcie swój nimb i upodobnił się do korsykańskiego porucznika wyniesionego przez rewolucję na tron cesarski. Historia przestała być wreszcie opowiadaniem o wielkich mężach i opatrznościowych geniuszach Carlyle'a, a stała się sprawą ruchów społecznych, od których jednostki są w ogromnej mierze uzależnione".

Na piątym i szóstym miejscu w ankiecie „Kuźnicy" z równą ilością głosów znaleźli się wielcy klasycy polskiej powieści **Eliza Orzeszkowa i Henryk Sienkiewicz.** Dziwne może jest że dalsze miejsce zajął Bolesław Prus, fakt ten tłumaczy się jednak okolicznością, że główne jego dzieła — „Lalka" i „Faraon" są już wydane. Na utwory te, podobnie jak na opublikowane już dzieła Sienkiewicza i Żeromskiego padła zresztą również spora ilość głosów, czytelników nieorientujących się w ruchu wydawniczym. Pragnęlibyśmy zwrócić na to uwagę, zwłaszcza działom i placówkom kolportażu naszych instytucyj wydawniczych.

L. Kozieradzka mgr. farmacji—(Warszawa) pisze: „Z dzieł Elizy Orzeszkowej, na pierwszym miejscu postawiłabym „Nad Niemnem", szlachecko-ludową epopeę okresu, którego problematyka wciąż jeszcze żywa jest w naszym społeczeństwie, wspaniały, rzewny, przejmujący, choć nieco może staroświecki obraz życia, którego już nie ma, nakreślony przez czułą przewodniczkę sumień, wielką pisarkę, wzór prawego człowieka".

S. N. Wałbrzych: „Zasadniczo należało by wydać jakieś dzieła wybrane tej pisarki, która zawsze walczyła o godność ludzką".

Elżb. Pańczyszyn, pielęgniarka Łódź: „Dziś po zagładzie 3 i pół milionowej rzeszy polskich Żydów nabierają szczególnej wartości historycznej, ogólnoludzkiej i narodowej takie dzieła jak „Meir Ezofowicz" Elizy Orzeszkowej lub tejże autorki „Eli Makower".

Jerzy Rozmaj, dyr. gimn. Zakrzówek pow. Kraśnik wymienia trzy utwory Orzeszkowej „Nad Niemnem", „Cham" i „Bene Nati", stwierdzając: „Orzeszkowa nie przestała być aktualną i jej rzeczy powinny być łatwo dostępne".

O „Trylogii" zaś pisze:

„Pomimo słusznych zarzutów, które stawiamy Sienkiewiczowi (idealizacja szlachetczyzny, fałszywie przedstawiona sprawa ukraińska itd.) należy to dzieło udostępnić młodzieży".

Tad. Wataszkiewicz, Wrzeszcz-Gdańsk:

„...pomimo pewnych zarzutów, że przedstawia („Trylogia" przyp. red.) tylko życie szlachty i zbyt jednostronnie sprawy Kozaków, nikt nie może zaprzeczyć ogromnego jej wpływu na kształtowanie polskiej młodzieży i całego społeczeństwa polskiego.

Dr. J. Safian, Biała Podlaska: „Trylogia"— Wznowienie konieczne, niezbędne, nieubłagane. Pomimo wszystko".

Wreszcie J. A. Jeziorański — Karlino, Pomorze Zachodnie, pow. Kołobrzeg którego inne wypowiedzi cytujemy niżej, stwierdza: „Tutejszy księgarz, który powinien wiedzieć lepiej, niż ja, tak gwałtownie i gorąco przekonywuje mnie o konieczności wydania „Trylogii", że muszę mu wierzyć, aczkolwiek tendencje społeczne „Trylogii" i jej tendencja polityczna — nie godzą się z duchem czasu. No, ale trudno! Vox populi..."

Ten sam czytelnik pisze:

„Jeżeli idzie o autorów polskich, tu, na dalekim Zachodzie nie mam możności wybrać dzieł pisarzy żyjących, bo przecież nie wiem, co w tece mają Żukrowski, Putrament, Tuwim, Brandys... Ale żeby jednak zamanifestować, że wydawanie współczesnych autorów polskich jest obowiązkowe — wprowadzam na listę **„Noce i dni" Marii Dąbrowskiej,** jako najlepsze dzieło dwudziestolecia".

W dalszym ciągu z nadesłanych nam uzasadnień, wybieramy głosy, motywujące konieczność wydania tych książek, które uzyskały trzy, ostatnie miejsca w pierwszym dziesiątku dzieł jakie, zdaniem naszych czytelników, winny być wydane jak najszybciej

O cyklu **Roger Martin du Garda „Rodzina Thibault"** Leon Bukowiecki dziennikarz (Łódź) pisze: „Jedna z najpiękniejszych psy-

»KUŹNICY«

I obcej należy w Polsce wydać najszybciej

chologicznych i pacyfistycznych książek świata, absolutnie niedoceniona w Polsce. Ponowne jej wydanie i położenie nacisku na wzorowe przetłumaczenie dwu pierwszych tomów (inne są tłumaczone dobrze) uważam za konieczne". Sprostujmy: nietylko psychologicznych i niezupełnie pacyfistycznych. Przede wszystkim wzorowych jako model powieści o wyraźnym obliczu współczesnego pisarskiego realizmu, wzbogaconego o środki pisarskie, nieznane epoce realizmu dziewiętnastowiecznego

„Czerwone i czarne" Stendhala — ob. L. B. (Łódź) umieszcza wraz z nazwiskami dwu innych „wielkich realistów" francuskich Balzaca i Flauberta: Z Balzaca „Chłopi" i „Stara panna". Przede wszystkim jednak „Chłopi", jedna z największych powieści w całej „Komedii ludzkiej", książka o upadku własności ziemskiej, o zmierzchu pozostałości feudalizmu i o całkowitym triumfie mieszczaństwa. To ostatnie dzieło twórcy „Straconych złudzeń" wskazuje wyraźnie na dalsze konsekwencje rozwoju gospodarki kapitalistycznej, która rozpoczynała właśnie swój gigantyczny rozwój. Potem „Stara panna", elegia ku czci zanikających form ustrojowych, ku czci ginących warunków socjalnych. Ona to, wraz z „Chłopami", stanowi podzwonne arystokracji wypieranej w coraz gwałtowniejszy sposób przez narastające siły mieszczaństwa po roku 1830. A przecież rok 1830 to wielka data, to początek tworzenia się wspaniałych fortun Gobsecków, Grandetów i Nucingenów. I jesz cze jedna książka współczesna epoce, w której rozgrywa się akcja „Komedji Ludzkiej", „Czerwone i czarne" Stendhala. Ta historia awansu społecznego, wiodącego już nie poprzez karierę wojskową, jak to się działo za czasów Napoleona, a poprzez godności duchowieństwa, poprzez probostwa. „Czerwone i czarne" to jedna z największych powieści o awansie i o powolnym wydźwiganiu się socjalnym młodego kleryka Juliana Sorela, który nie chciał być prowincjonałem i drwalem jak jego ojciec.

Epilog tych powieści to rewolucja w 1848 r. i jej klęska, której przyczyny zostały już trafnie uchwycone w „Chłopach", epilog tych powieści to właśnie „Szkoła serc". Nieudane próby kariery, upadek bohaterów, którzy muszą się później przyznać do zrezygnowania z własnych pragnień, do zwichnięcia zamierzeń i otwierają nową epokę".

O „Placówce" Prusa:

„Wycinek z nieustającej walki Polaków z germanizacją, zacięty opór chłopa polskiego na swej placówce — przypomina żywo niedawne czasy „Hakaty", której metody wydają się jednak łagodne wobec wysiedleń, obozów i krematoriów Hitlera. Wielki talent pisarski, wnikliwość obserwacyj życia w każdym jego przejawie, czynią dzieła Prusa nazawsze nam bliskie, (T. Wataszkiewicz Gdańsk-Wrzeszcz).

Wiele z nadesłanych uzasadnień dotyczy książek, na które padła stosunkowo mniejsza ilość głosów. Niekiedy interesujące są próby stworzenia jakiejś w miarę możności jednolitej zasady wyboru:

„Wobec szczupłej liczby dziesięciu książek (wymienić należałoby setki) podając tylko dzieła autorów polskich **(J. Sidorowicz, Chojnice).**

„Ominąłem w spisie swoim książki naszych autorów. Zrobiłem to świadomie, gdyż większość książek pisarzy polskich, o ile już nie została wydana, to z pewnością zostanie w najbliższym czasie". **(Wł. Góra** — adres niepodany).

„Z dziesięciu książek wybrałem powieści dostępne dla ogółu czytelników, powieści o pewnym zabarwieniu społecznym. Chodzi o zapoznanie czytelnika z klasycznymi dziełami literatury polskiej i obcej; o danie młodzieży, dla której brak odpowiednich książek powieści dobrej, zajmującej i kształcącej". **(I.Piotówna stud. med. Wrocław).**

„Książki, które podam poniżej, z pewnością nie będą należeć do listy owych dziesięciu wybranych. Są to książki wybrane po kilkunastodniowym namyśle, na podstawie mego „dziennika lektury" prowadzonego bez przerwy do r. 1934, który jako jedyną książkę mej biblioteki uratowałem z wojennego pogromu. Mam nadzieję, że nie tylko nie znajdzie się nikt inny, który zestawi choćby tylko podobną listę, ale że znajdę się na szarym końcu, odcinając się od przeciętnych odpowiedzi. Przykro by mi było, gdybym się przekonał, że wielu czytelników w Polsce ma te same gusty". **(L. Bukowiecki, dziennikarz, — Łódź).**

Maria Chwat (Łódź) podaje następującą listę: 1) Eliza Orzeszkowa „Meir Ezofowicz", 2) Stefan Żeromski „Ludzie Bezdomni", 3) Stanisław Brzozowski — „Płomienie". (Jest to książka może najmniej popularna ze wszystkich w polskiej literaturze Uważam więc, że ze względu na jej wartość i opis walki rewolucyjnej pojętej wyjątkowo pięknie i szlachetnie należałoby z nią zaznajomić nasze społeczeństwo). 4) De Cruif — „Łowcy mikrobów"... (jest raczej książką popularno-naukową, ale ze względu na niezwykle ciekawe opisy odkryć i badań naukowych, które zrewolucjonizowały na przestrzeni wieków nasze życie i pojęcia o świecie, ze względu na postaci uczonych, którzy zdają się wprost nie mieć nic wspólnego z typem człowieka— bestii, z którym stykaliśmy się tak długo i często, książka ta jest niezwykle wartościowa. Przywraca nam wiarę w człowieka!), 5) Sinclair Levis — Dr. Arrowsmith" (ukazał się w języku polskim przed wojną tylko jeden jej tom, ale ze względu znowu na wartości poruszone powyżej i na problem walki naukowca o prawo do nauki, o konflikt lekarza praktyka a lekarza-badacza ma ona dzisiaj specjalną wymowę). 6) Romain Rolland — „Colas Breugnon" (z wielu dzieł Romain Rollanda równie wartościowych jak pięknych tę książkę uważałam zawsze za najpiękniejszą. Jej radość życia, jej bogactwo artystyczne przemawiały do mnie najbardziej. Przedstawia ona człowieka z jego złymi i dobrymi cechami, ale jakże wartościowego i pełnego. 7) Herman Hesse „Narcyz i Złotousty", 8) Lew Tołstoj — „Wojna i pokój", 9) Aleksy Tołstoj — „Piotr Wielki", 10) Franz Werfel — „Muza-Dak".

Autorka odpowiedzi podkreśla: „Podałam ten spis tylko ze względu na ogólną tendencję tych dzieł. Jest wiele innych równie wartościowych jak i pięknych książek, ale nigdzie chyba walka o godność człowieka nie była wyrazistsza niż w tych kilku wyżej wymienionych. Zaznaczam, że żadnej z tych książek nie czytałam powtórnie po wojnie i pisałam o nich tak jak mi utkwiły w pamięci. Były one dla mnie pociechą i podporą przez te wszystkie straszliwe lata. Dzięki nim mimo wszystko wierzyłam w odrodzenie Człowieka!"

Inna czytelniczka **R. Wolska, (naucz., Siedlce)** pisze: „Społeczeństwu trzeba dać książki o ludziach pracy, czy to tych, którzy stoją najwyżej w tej hierarchii tzn. uczonych, czy o zwykłych robotnikach z huty szklanej, czy metalowej. Niech książka chwali ich trud, ukazuje człowieka i jego pracę z najlepszej strony. Niech pokaże, że właśnie ci ludzie budują, tworzą, zasługują się ojczyźnie, a nie ci, którzy poprzez wojnę niszczą w imię niewiadomo czego wszystko co stanowi dorobek ludzkiego trudu... Widziałam robotnika, którego nazwisko wydrukowała gazeta razem ze wzmianką, że jest wzorowym pracownikiem. Warto było go wtedy widzieć, i te drżące ręce, które wycinały cały artykuł, by schować go między najdroższe pamiątki". Wymienia „Jana Krzysztofa" Romain Rollanda, „Błogosławieństwo ziemi" Hamsuna, „Żółty krzyż" Struga, „Na Zachodzie bez zmian" Remarque'a, „Ziemię obiecaną" Pearl Buck „Dzieciństwo" Gorkiego i Smitha „Pasierbicę wojny". Pisze: „Właściwie miałabym ochotę inną listę wystawić, ale niestety, autorów nie pamiętam, chodzi mi mianowicie o popularnie opracowane biografie wielkich wynalazców i uczonych na przykład Ewy Curie, książka o jej matce, czy coś o Edisonie, Pasteurze, Stephensonie i innych... Budujemy pokój, więc niech książki tworzą ludzi pokoju z pługiem, kilofem, łopatą w ręku, którym przecież, jeśli zajdzie konieczność włożymy w dłoń steny. Jeśli wszyscy bez wyjątku pragnąć będziemy pokoju i pracy dla niego, pokój ten stworzymy i utrzymamy".

Na ogół przeważa opinia, że na wybór dziesięciu książek zdecydować się nie łatwo. Fr. Kasprowicz (asystent U. J. Kraków) pisze, podawszy swą listę dziesięciu książek: „Właściwie uzasadnienie potrzeby udostępnienia tych dzieł czytelnikowi polskiemu jest zbędne. Raczej wypadałoby tłumaczyć, czemu tylko dziesięć książek się wyróżnia. Z książkami jest podobnie, jak z Rzymem; łatwo go zwiedzić w trzech dniach, trudniej w dziesięciu, a już zgoła niemożliwe w miesiącu".

Pewna sekretarka w referacie Kultury i Sztuki (Dolny Śląsk) miejscowości przez dyskrecję nie podajemy) przesyła natomiast wręcz rozbrajające wyznanie, że „nazwiska i tytuły książek rzuciła odruchowo bez zastanowienia się na papier". Usprawiedliwiamy filar dolnośląskiej placówki polskiej kultury, ponieważ liczy sobie jak podaje w ankiecie— 18 wiosen...

Zato Stanisław Chróścielski (prac. Zw. „Społem", Łódź) — sądzimy, że nie obrazi się, jeśli zdradzimy ze mógłby być ojcem wspomnianej wyżej krzewicielki kultury na Ziemiach Odzyskanych — stwierdza:

„Już przed wojną zbyt wielką wagę przywiązywało się do nauki sportów, która pochłaniała czas uczącej się młodzieży, ponad normę. W szkole, jak wiadomo, literatury i historii uczono z krótkich, a nawet bardzo króciutkich podręczników, co zresztą ze względu na ogólny dość obszerny program jest rzeczą zrozumiałą, na lekturę zaś poza szkołą — sporty nie pozwalały. Młodzież nasza czyta dzisiaj wszystko, co jej wpadnie przypadkowo do ręki, a więc bez żadnego planu, to też cechuje ją duży zasób wiadomości chaotycznych. Sądy jej są zazwyczaj bezpodstawne i powierzchowne. Brak systematyczności w zdobywaniu wiedzy jest tego przyczyną.

W związku z tym autor odpowiedzi proponuje następującą listę książek:

1) **W. M. Kozłowskiego — „Co i jak często"** 2) **Prof. A. S. Kryńskiego — Jak mówić po polsku,** 3) **Słownik języka polskiego**—(Brueckner, Arct, Słownik Warszawski itd.), 4) **Encyklopedia Powszechna** (Arct, Trzaska, Ewert i Michalski, Gutenberg i t. d.), 5) **Dzieje literatury polskiej** (Brueckner, Chrzanowski, Chmielewski, Chlebowski, Tarnowski, Feldman i t. d.).

Z tych samych względów co podręcznik historii literatury polskiej, potrzebny jest w-g autora odpowiedzi również podręcznik historii literatury powszechnej, wobec czego proponuje on: 6) **Trzaska, Ewert i Michalski** — Dzieje literatury powszechnej. „Nauka literatury bez równoczesnego studiowania historii polskiej i powszechnej jest rzeczą nie do pomyślenia boć wiadomo przecie, że każde dzieło literackie jest ściśle związane ze swoją epoką, stąd:

7) **Dzieje Polski** (Bobrzyński, Smoleński itd), 8) **Historia Powszechna** (Korzon, W. Zakrzewski itp.). Nadto autor odpowiedzi proponuje ze względu na toczące się dyskusje literackie reedycję książki 9) Stanisława Witkiewicza „Sztuka i krytyka u nas", i 10) W. Rapackiego „Sto lat sceny polskiej".

Cytowany już przez nas J. A. Jeziorański, (Karlino pow. kołobrzeski) pisze:

„Względy praktyczne przede wszystkim. A więc naprzód te dzieła, które mogą być przydatne przy wychowaniu młodzieży i dzieci. Oczywiście, nie mam na myśli podręczników szkolnych: idzie przecież o **literaturę,** a nie o książki naukowe. Ale w ramach „literatury" myśleć trzeba o dziełach kształcących smak a jednak dostępnych dla najmłodszych czytelników. Wynika stąd, że nie możemy na pierwszym miejscu postawić Dialogów Platona lub Maksym Larochefoucauld. Inne potrzeby muszą być zaspokojone nim będziemy mogli przystąpić do wydawania dzieł tego typu.

Duch czasu musi być uwzględniony. A duch czasu — duch chwili obecnej — da się streścić w dwóch hasłach: równość powszechna i powszechne pojednanie".

Ponadto autor odpowiedzi sądzi, „że pierwszeństwo oddawać należy dziełom o wydźwięku optymistycznym, dziełom, których myślą przewodnią jest afirmacja, miłość do ludzi, do życia i do przyrody. Nie możemy wybierać dzieł przepojonych goryczą, choćby nawet stojących na najwyższym poziomie literackim. A więc z wielkim żalem wyrzec się trzeba Dostojewskiego, Mauriaca i Duhamela z naszych autorów Wyspiańskiego i Przybyszewskiego... Odrzucić trzeba tematykę wojenną, malowanie grozy, nawet malowanie krzywdy społecznej. A więc ani Zola ani „Ludzie bezdomni".

Z pisarzy polskich poza Sienkiewiczem i Dąbrowską i „Wiatrem od morza" autor odpowiedzi proponuje:

„Marii Konopnickiej — Wiersze dla dzieci. Są dwa zbiorki, jeden nazywa się „Nowe Lato", tytułu drugiego (a raczej pierwszego, bo był wcześniejszy) nie pamiętam. Kiedyś, kiedyś, wierszyki te były popularne a Zygmunt Noskowski napisał do nich dobrą muzkę. Są czarujące wydać je trzeba koniecznie". Z dzieł obcych: Odysseę — Homera" oczywiście w tłumaczeniu Siemieńskiego, a nie w przekładzie Wittlina, który stale przerzuca zdanie z wiersza do wiersza, co chyba w przekładzie heksametru nie uchodzi". Ze współczesnych literatur obcych pragnąłby wydać antologię poezji francuskiej (które to życzenie zostało już spełnione) oraz dwa arcydzieła literatury amerykańskiej Ernesta Hemingwaya „Komu dzwoni dzwon" i Johna Steinbecka „The grapes of wrath". Zastanawiając się nad wyborem jednego z dzieł literatury rosyjskiej autor odpowiedzi głosuje na Tołstoja „Dzieciństwo Lata chłopięce, Młodość — dzieło niezrównanej piękności, a u nas mało znane".

Stanisław Lutek, robotnik — Warszawa nadesłał nam następujące „Krótkie uzasadnienie książek, które, chciałby by były wznowione":

„Ciężko jest robotnikowi trafić do dobrej książki. Inteligent bardzo często wie jaką książkę chce czytać, umie wyszukiwać w masie książek, słowem sam decyduje o książce. Robotnik czyta co mu wpadnie do ręki, albo co mu wsuną i przeważnie dostaje do ręki w rodzaju Kurth Maller (jak to się pisze?). Dostawszy taką książkę robotnik zdziwiony pyta, co oni (oni t. zn. ci co czytają) widzą, że je wiecznie czytają, przecież to straszna głupota, ale to przecież książka, więc czyta, nierzadko rzuca taką książkę w kąt, ale jak mu się trafi dobra książka to na prawo i lewo opowiada, że czytał dobrą książkę, prawdziwą książkę. „Oni" ci usłużni, których wszędzie spotkać można, zapaleni miłośnicy książek Marczyńskiego i Mallerowej, powiedzą, że owszem, ale że to propaganda i takich książek raczej nie należy czytać, bo to tylko zamęt sieje. Dobra literatura to laureaci Nobla — panie — o! Sienkiewicz, a te książki (to zn. te, które wymieniam) to żydki napisali". Nie obchodzi mnie kto napisał — odpowiada robotnik — ale dobrze napisał. Dlatego uważam, że dobrze pisał **Szołochow.** Bohater „Cichego Donu" długą, ciężką i krawawą drogę musiał przebyć nim zrozumiał, że przecież panom służy, którzy nim pogardzają. Droga jaką przebył bohater „Cichego Donu", droga powątpień w stare ideały i wartości, droga nieufności czy nowe wartości są trwałe, to przecież droga b. wielu robotników. Dla zrozumienia prostego faktu, faktu nie służenia swojej sprawie trzeba było wojny i walk domowych, w pięknej formie podał to Szołochow, dlatego książkę tę powinien czytać każdy robotnik a zasmakuje w dobrych książkach.

Aleksy Tołstoj—w dzieciństwie ogromnie się rozczarowałem gdy mi pokazano w gazecie fotografie cywilnego pana mówiąc: to jest król, on nie może być królem, uparcie dowodziłem, bo nie ma korony. Historia zna króla (cara), który z toporem w ręku jako cieśla budował okręty dla floty swego kraju, śmiała myśl, szalone tempo pracy i wielkie ofiary ludzkie kładł car Piotr w fundament miasta jego imieniem nazwanego. Dwie grube książki czyta się jednym tchem. Dlaczego nie wydaje się III tomu?

Jonhn Reed — „10 dni, które wstrząsnęły światem". Jeśli słuszny jest tytuł książki J. Reeda, to świat (robociarski) powinien poznać historię owych 10 dni, w których K. C. bolszewików decydował jakimi drogami ma się potoczyć dalej rewolucja rosyjska. W pamiętnych 10 dniach niewielu ludzi, poza robotnikami petersburskich fabryk, popierało myśl Lenina (cała władza ludowi) myśl, której słuszność po 25 latach odczuła armia niemiecka pod Stalingradem, gubiąc mit „najlepszej armii w świecie". J. Reed przytacza urywek z odpowiedzi, jaką Lenin udzielił tym wszystkim, którzy twierdzili, że „Rosjanie nie dorośli do rewolucji". Lenin mówił: „Jeśli na rewolucję mamy czekać, aż na to pozwoli pełny intelektualny rozwój człowieka, to rewolucji jeszcze za 500 lat nie ujrzymy". A i u nas w Polsce nie brak takich, co mówią, że to co się dokonało (reformy) dokonało się za wcześnie, należało z tym zaczekać.

Panfierow — Brzuski, Komuna nędzarzy i Bunt Ziemi powinny być wydane w jednej książce, gdyż dopiero wówczas, jako całość, pozwalają ogarnąć jałowy wysiłek (mowa o biedniakach) jednostki, ciężki trud słabo zwartej grupy, i wreszcie wyniki pracy silnej gromady ożywionej duchem kolektywnej myśli, jeśli kogo razi słowo kolektywnej, (bo to przecież zaraz 17 republika) to można powiedzieć spółdzielczej.

Kniekerboker— ‚Czerwony handel grozi". W r. 1940 dało się tu i ówdzie słyszeć takie gadki: „Rosjanie!!! dziady, sznurki przy karabinach, czołgi tekturowe, samoloty ceratowe, nie mówiąc już o naszych, polskich, nocnych koszulach, które Rosjanki brały za wykwintny strój balowy. To była przerażająca opinia. A popatrzmy co pisał o Rosji w latach trzydziestych Knickerboker, burżuazyjny publicysta, który już wtedy ostrzegał świat, że Rosja Radziecka to potęga, której planowy przemysł i handel grożą światu burżuazyjnemu jako groźny konkurent na rynkach światowych, a my Polacy ciągle jeszcze gadamy, że to angielskim i amerykańskim sprzętem Rosja Radziecka zwyciężyła Niemców. Więc może p. Knickerboker jeszcze raz powie jak to jest z tym przemysłem i handlem Radzieckim.

Aragon—„Dzwony Bazyeli" „Panie, co pan tak obstaje za tym swoim Stalinem", rzekł mi pewien inteligent, z którym rozmawiałem o Zw. Radzieckim — Bo on (Stalin) broni naszych granic Zachodnich, a pański Churchill radby je oddać Niemcom. „Panie, on, (Churchill)tylko tak mówi" (autentyczne). W latach przed 1939 rokiem ludzie postępu ostrzegali o niebezpieczeństwie - faszyzmu. „Monachijczycy" odpowiadali, jak ów inteligent w rozmowie ze mną. „Dzwony Bazylei" to książka, w której ostrzega się Europę, że faszyzmy zaczynają od związków zawodowych i robotniczych partii politycznych. To są Bastylie demokracji. To wystarczy by książkę wznowić, by wykazać że niebezpieczeństwo bardzo często czai się, usypiane słowami „on tylko tak mówi".

Cronin — „Cytadela". Anglicy mają dobrą wełnę, mocną walutę i dochodowe kolonie, ale także i sprytnych macherów od rozbijania jedności robotniczej (związków zawodowych). Wszyscy wielbiciele Anglii powinni przeczytać „Cytadelę".

A. Sokolicz — „Cysarskie cięcie". Traugutt to piękna postać, ale powstanie styczniowe, to nie tylko próba zrzucenia jarzma, i powrót do dawnej Polski szlacheckiej, to także sprecyzowany program reform społecznych i gospodarczych dzieło „Czerwonych", które drażniło „Białych".

Sempołowska—„Na ratunek". Kogo nie pociągały bezkresne pustynie lodowe i ludzie, którzy toczą walkę z żywiołem, by go ujarzmić i wydrzeć mu tajemnice, których tak zazdrośnie strzeże i śmiałków karze. Nieszczęścia, które się wydarzą tym ludziom są nieszczęściami wszystkich, bolszewicy ratują faszystów, nie myśląc o tym, że ratują przeciwników politycznych. Pięknie opisała to Sempołowska.

B. Jasieński — „Człowiek zmienia skórę" Car Piotr na jednym krańcu Rosji budował miasto. W 150 lat po tym wyzwolony lud, nawpół dziki, podjął równie śmiałą myśl, (nawodnienia stepów). Tylko, że tutaj szanuje się już człowieka, nie ubija się w fundament, ale fundament raczej się burzy, aby ratować człowieka, no i car Piotr nie znał sabotażu, a tutaj są przedstawiciele kultury zachodnioeuropejskiej, którzy przyjechali, by szkodzić dziełu wyzwolenia się ludu. To są książki, które ja radbym widzieć pod każdą „strzechą".

Dalsze głosy czytelników w ankiecie i nazwiska wyróżnionych za najtrafniejszą listę książek i najciekawsze uzasadnienia podamy w następnym numerze. (Red.).

JULIEN BENDA

FRANCJA BIZANTYŃSKA

FRAGMENTY

Podajemy parę fragmentów ze słynnej książki „La France Bysantine", w której Julien Benda atakuje pewien typ współczesnej literatury francuskiej, przyrównując go do schyłkowej kultury aleksandryjskiej i bizantyńskiej. Znaczenie analizy Bendy sięga poza Francję, filiancje i pochodne tych tendencji, które Benda zwalcza, łatwo odnaleźć i w rodzimej produkcji literackiej i w poglądach na literaturę. Nie podzielając idealistycznego stanowiska Bendy, zalecamy czytelnikom jego stwierdzenia krytyczne, podyktowane troską o to, aby przywrócić kulturze literackiej jasność, godność, konkretność i odpowiedzialność myśli.

Tendencja w myśl której literatura ma rozwijać się nie dzięki analizie, ale przez mityczne połączenie przedmiotu i podmiotu.

Pisarze współcześni uważają często, że zadaniem literatury jest ukazywać stan duchowy, ale nie przez wyjaśnienie jego elementów, lecz przez ujęcie go w jego „niepodzielnej jedności"; nie dzięki studiom od zewnątrz, lecz przez wyczucie „pulsowania zewnętrznego", nie przez pracę analityczną, lecz przez akt wspólnoty mistycznej. Nie trzeba chyba dodawać, że metoda w myśl której pisarz **staje się** życiem zamiast sobie kształtować sąd o życiu, że metoda, w której odrzuca się rozróżnienie między podmiotem i przedmiotem jest całkowitym zaprzeczeniem intelektualizmu, czym się zresztą chlubi. Warto zauważyć, że metodę tę popierają nie tylko poeci, co wydawało by się słuszne i zgodne z teorią Lessinga (który twierdzi, że poezja jest zła, gdy wylicza części, dobra zaś gdy ukazuje rzeczy nierozdzielne), ale i ci pisarze, którzy powinni, jak się wydaje, uważać analizę za istotny składnik definicji zawodu pisarskiego: mianowicie powieściopisarze. Proust i jego szkoła są gorącymi zwolennikami bergsonowskiej intuicji, szczególnie w tej mierze, o ile jest ona zaprzeczeniem analizy. Ci wrogowie analizy są zresztą w swych powieściach przeważnie analitykami, szczególnie Proust. Ale nie chcą nimi być, nie pozwalają im na to ich lewici. Jeden z nich wykrzykuje na temat Prousta: „Powiecie mi, że to analityk. Nie, analityk rozdziela z trudem, wyjaśnia, przystosowuje. Proust odczuwa to wszystko z całą naturalnością" (André Gide). Adwokat ten rozwija twierdzenie, że Proust jest analitykiem spontanicznym, co jest równie dobrą metodą analityczną, jak każda inna; lecz pierwszym jego odruchem było zaprzeczyć z oburzeniem, jakoby klient jego pochodził z tego właśnie plemienia, jak gdyby mu to mogło ubliżyć. Ten odruch właśnie nas zastanawia.

A oto szczere wezwanie do poznawania mistycznego, wygłoszone przez współczesnego pisarza, który uchodzi i uważa się z pewnością za ponurego intelektualistę.

„Przy poważnym myśleniu nie sposób posługiwać się pojęciami takimi jak klasycyzm, romantym, humanizm, realizm.

Nie można się upić ani zaspokoić pragnienia etykietami na butelkach" (Valery).

Czytelnik odpowie że wszystkie słowa są etykietami na butelkach, najistotniejsze, aby odpowiadały swojej zawartości i że przecież myśli się słowami. Lecz autor chce upić się i „ugasić pragnienie" samymi rzeczami, co jest możliwe tylko po uwolnieniu się od słów i, dla przedłużenia porównania, wypić dopiero same rzeczy. Ciekawe, że ów „intelektualista" nazywa to myślenie „poważnym".

Myśl artysty jako myśl samorodna. — Religia oryginalności. — Wojna z banałem. — Idea ma znaczenie nie dlatego, że jest prawdziwa, ale że jest osobista.

Według jednego z dogmatów estetyki współczesnej, myśl artysty powinna być samorodna. Mniejszą wartość mają według tej estetyki elementy, które nie pochodzą od samego artysty. Oto manifest będący wyrazem tego dążenia. Autor manifestu stawia nam za wzór artystę „nieufnego wobec wszystkiego, co jest rozumowo dowiedzione, wytłumaczone, a co nazywa się intelektualnym" — dorzucając, że „myśl abstrakcyjna i komunikatywna, która przychodzi z zewnątrz, której uczymy się od innych, jest zwykłą monetą obiegową. Uczyć się od innych? Od innych uczyć się można zawodu, tak; lecz myśl artysty jest jak rozmowa z własnym geniuszem za pomocą języka danej sztuki". (Alain). Wypowiedź ta skierowana jest przeciw inteligencji, przeciw tym elementom myśli artysty, które nie pochodzą wyłącznie od niego, lecz zawierają pewne zasadnicze formy intelektu odziedziczone przez jednostkę i wspólne wszystkim ludziom, bez których myśl (nie uczucie) jest niemożliwa. Oczywiście ten antyintelektualny solipsyzm nie może być praktykowany przez żadnego z naszych twórców, nawet najmniej intelektualnego; lecz najważniejsze, że wyrażają się o nim z zapałem nawet ci, którzy podpisaliby się pod moim tekstem.

Czytelnik zwróci uwagę na identyczność, którą autor zakłada między **tym co jest stwierdzone, wyjaśnione,** a myślą, która **przychodzi z zewnątrz**, jakby wytłumaczone nie mogło przyjść od wewnątrz; między myślą **komunikatywną** i myślą, **której się uczymy od innych** jak gdyby myśl, którą się zawdzięcza tylko sobie nie mogła być komunikatywna; między myślą abstrakcyjną i myślą, która pochodzi od nas, jak gdyby Vinci (aby dać za przykład artystę) nie wyrażał myśli abstrakcyjnych, które pochodziły tylko od niego; między tym wszystkim a — **rzemiosłem,** które jest jeszcze czym innnym. Autor widocznie nie posiada umiejętności odróżniania idei; jeśli zaś ją ma, to poświęca ją temu, co nazywa porywem lirycznym. Żądanie, by w dziele pisarza nie znalazło się nic, co by mógł on zawdzięczać komuś innemu, jest zasadą romantyzmu. Stendhal—roztrząsa jeden z krytyków — bardziej troszczy się o to, aby być sobą, według jednego z jego ulubionych powiedzeń, niż o to, aby nie być do nikogo podobnym. Nietsche w „Wiedzy Radosnej" przystraja się w taki zwrot: „Mieszkałem we własnym domu, nigdy nikogo nie naśladowałem". Jules Laforgue publikuje w 1878 r. „Małe poematy fantastyczne", w których chce „tworzyć oryginalnie za wszelką cenę". Religia oryginalności prowadzi wprost do paradoksu, jeśli staje w sprzeczności z poglądem przyjętym, jeśli ten ostatni jest doskonale słuszny. Czy trzeba dodawać, że wola oryginalności za wszelką cenę ma w sobie coś dziecinnego i charakteryzuje mentalności prymitywne?

Oto kto czyni z pisarzy współczesnych galerników nowości.

„Pod karą nicości, pogardy i nudy staramy się wysunąć **naprzód** (podkr. autora) w sztuce, polityce i ideologii" (Valéry). Tegoż autora następujące wyznanie: „Nowość jest wartością tak wybitną, że nieobecność jej niszczy nam wszystkie inne, a obecność zastępuje nam je". Obok — zdanie klasyka, który być może nie należy już do wielkiej epoki: „Wyjątkowość jest błędem i ubóstwem natury" (Fenelon). Nałożony na pisarza obowiązek oryginalności za wszelką cenę prowadzi do odrzucenia banału, „postrachu literatury", podczas gdy banał, jeśli tak nazwać prawdę ogólnie przyjętą, ustanawia konieczne miejsce w szeregu logicznym, z tego samego tytułu co aksjomat w demonstracji matematycznej i posługiwali się nim myśliciele, których najmniej można by oskarżyć o banalność, Descartes, Rousseau, Taine. Jest to konieczność z którą liczy się każdy z nas: stronica bez odbitek myślowych jest szeregiem zagadek, odpycha umysł najbardziej ciekawy, najcierpliwszego edypa". (Remy de Gourmont).

Zdanie to ma wartość tylko w zastosowaniu do literatury, która bynajmniej nie polega na tworzeniu szeregu zagadek, lecz pragnie odkrywać rzeczy zrozumiałe dla nas i tego oczekują od niej również czytelnicy.

Oto gloryfikacja pisarstwa posługującego się językiem pozbawionym wszelkich elementów wspólnych z językiem innych ludzi. Autor (Valéry) chwali Mallarmé'go, który:

„Tworzy sobie język całkiem własny, oparty na wyrafinowanym doborze słów i szczególnych zwrotach, które sam wyszukuje i rozwija, odmawiając **bezpośrednich** rozwiązań, które podsuwa zdrowy rozsądek. Chodzi tu wyłącznie o to, aby bronić się nawet w drobiazgach i w elementarnym działaniu myśli **od automatyzmu".**

Autor zdaje się nie widzieć, że rozwiązanie bezpośrednie podpowiedziane przez zdrowy rozsądek mogłoby czasem być korzystne, a przede wszystkim, że trudno wprost zliczyć tych wszystkich pisarzy, którzy korzystali ze słownictwa swoich współczesnych, uniknąwszy wybornie automatyzmu. Co prawda uniknęli go dzięki osobliwości wypowiadanych myśli, ale autor wyżej przytoczony wierzy tylko w osobliwość formy, niezależnej od zawartości, dla której nie ma żadnego szacunku.

Antyintelektualna definicja myśli. — Powodzenie tez Kierkegaarda. — Mistyczna koncepcja literatury.

To stanowisko objawia się jeszcze wyraźniej w podawanej przez pewnych pisarzy definicji myśli. Myśl jest według nich wynikiem aktu, dzięki któremu osobowość po przekroczeniu własnych granic, aż do utożsamienia się ze wszechświatem — nie przestając jednak być osobowością — zdobywa pełną świadomość siebie samej. Podstawą tego kształtowania myśli jest przyjęcie przez daną osobę koncepcji **niepokoju.** Tu spotykają się nasi pisarze z filozofią Kierkegaarda. Myśl, która ma służyć utwierdzeniu naszej osoby w jej odrębności jest dokładnie przeciwieństwem tego, co intelektualista przez myśl rozumie. Dlaczego jednak obstaje się przy tym, aby nazywać myślą stan całkowicie aintelektualny, jak gdyby wstydzono się przyznać do niego. Jest to widocznie koncesja dla uroku, jakim otaczają ludzie myśl w potocznym sensie tego słowa. Barbarzyńcy wstydzący się swego barbarzyństwa.

Myśl w tym systemie służy potwierdzeniu naszej osobowości, w tym co ma ona odrębnego, dorzućmy: i uczuciowego.

Całkowicie nieintelektualny charakter myśli, tak jak ją rozumie Kierkegaard wyraża się w definicji jej działania, jako „wydarzenia wewnętrznego, w którym jednostka ...utożsamia się z myślą, aby w niej istnieć", podczas gdy istnienie „nie ma nic wspólnego z czystą myślą, która jako taka jest abstrakcyjna". Wypowiedzi jego zawierają kilka innych formuł, które mogliby podpisać współcześni mistrzowie francuscy, chociaż niejeden z nich uważa się za wroga romantyzmu germańskiego. Czyż to nie pasja Prousta popycha mistyka duńskiego do okrzyku: „Istnienie oznacza przede wszystkim byt indywidualny?" Czyż nie głosi tezy Valéry'ego mówiąc: „Z estetycznego i intelektualnego punktu widzenia badanie rzeczywistości jest błędem::, lub Gide'a, gdy dorzuca: „Z estetycznego punktu widzenia sięganie do rzeczywistości drugiego człowieka jest błędem, gdyż można zbadać tylko własną". Czyż nie wyraża wreszcie wszystkich trzech, mówiąc: „To, co subiektywne, to prawdziwe; to, co subiektywne, jest rzeczywistością".

Ci Francuzi zdają się mówić:

Z Północy przychodzi dziś do nas światło.

* * *

Skłonność do pojmowania literatury jako wytworu sztucznego, niezależnego od rzeczywistości, wyraża się jeszcze przez dążenie, aby traktować ją jako system konwencji przyjętych przez grupę osób zainteresowanych, podobnie jak istnieją słowniki tajnych zgromadzeń niedostępne dla wszystkich niewtajemniczonych. Teza ta była kilkakrotnie formułowana przez Valéry'ego, który chciał ją przypisać społeczeństwu XVII wieku: — „Sztuka klasyczna — zapewnia on — rozpoznaje się w absolutyźmie konwencji". Podobnie Andrè Gide: „Nic dalszego od realizmu i nic równocześnie bardziej prawdziwego, niż nasz teatr klasyczny. Była to cudowna transpozycja rzeczywistości w dziedzinę dobrze chronioną".

Krytyk, który przytacza te teksty zauważa, że jeśli drugi z nich przypisuje „prawdę" teatrowi klasycznemu, jest to „prawda" transponowana i hodowana pod kloszem:

„Znaczy to uważać klasycyzm francuski za kruchą i nienormalną roślinę, dostrzegać w nim jałowość egoistycznej zabawy, izolację Narcyza, lub osiągnięcie, dokonane przez niewielu wybranych; być może, że klasycyzm ten ma dziś rację bytu, ale wszystko wskazywałoby na jego anachronizm. W epoce historycznej, w której klasycyzm był środkiem wyrazu arystokracji, nigdy przecież nie był bóstwem jakiejś kapliczki: opierał się on nie na **konwencjach,** które są abstrakcyjnymi umowami i pochodzą z pewnego wyboru intelektualnego, ale na **konwenansach,** które wynikają z kompletnej obserwacji pewnego społeczeństwa; daleki od pochwalania duszney atmosfery gabinetu kolekcjonera, lub pokoju chorego, przystosował się do sceny i wolnej przestrzeni, do publiczności często burzliwej i szyderczej. Ludzie wielkiego okresu żyli jak inni, życiem twardym i małostkowym, światowym lub rozważnym, ale wszyscy oni umieli oczyścić wulgarność tego życia wspólnie dążąc do ideału, jakim była przyzwoitość, pragnąc jak najdokładniej określić, jak powinien postępować człowiek w stosunku do innych ludzi; spodziewali się znaleźć na to wzory w sztukach pięknych i literaturze. Dlatego klasycyzm francuski nie jest ani **wynikiem jakiejś doktryny, ani dziełem koterii; jest to wyraz pewnego stylu życia".**

NOTY

O literaturze i jej związkach z poczuciem systemu (Esprit de systhème) i poczuciem subelności (esprit de finesse). Przypadek André Gide'a.

„Ale umysły zafałszowane, mówi Pascal, nie są ani subtelne ani geometryczne" nie mają ani poczucia subtelności, ani poczucia systemu. Odpowiednio do tego lub prawie odpowiednio można powiedzieć: rzetelne umysły cechuje poczucie subtelności i poczucie systemu.

Stąd dwie ułomności: mieć poczucie systemu bez poczucia subtelności lub odwrotnie.

Przykładem na przypadek pierwszy jest Taine: jego artykuł o Maine de Biranie, czy o Balzaku uderza brakiem poczucia subtelności. Bonald. Maurras Bainville, będą tu również dobrymi przykładami.

Drugi przypadek reprezentuje z całą doskonałością współczesny pisarz André Gide. Przy czytaniu jego utworów, a szczególnie pism krytycznych uderza nas wynalazczość jego poglądów, zdolność insynuacyjna, skala cieniowania, świeżość a nawet często słuszność jego opinii i równocześnie ich rozprószenie nieobecność tych związków, które cechują molekuły ciała stałego, (pochwala się często ich „fluidyczność") niezdolność do „konsystencji"; niemniejszą uwagę zwracamy na smak każdego z tych poglądów, a równocześnie na ich wzajemna niezależność, nawet sprzeczność, dążenie do działania na własny rachunek, tak, aby nie wiązać się między sobą i nie podporządkowywać określonemu celowi w jakiejkolwiek organizacji. Zręczność jego określa się na podstawie szczegółów słownictwa, niezręczność w konstruowaniu zdania schierarchizowanego; osiągnięcia mierzy się konkretnością obrazu, a niebezpieczeństwa występują przy posługiwaniu się abstrakcją; podziwia się jego umiejętność zrozumienia indywidualności, a za jego brak zasadniczy uważa się całkowitą nieumiejętność tworzenia ogólnej koncepcji wyjaśniającej. Nigdy chyba powiedzenie Pascala o „celach, które są tylko celami" i nie sięgają do „podstawowych zagadnień teoretycznych" nie sprawdziły się lepiej, niż w tym wypadku. Równie słuszny okazał się dokonany przez niego podział na umysły szerokie ale słabe i na umysły mocne ale waskie. Omawiany autor należy najoczywiściej do pierwszych: odznacza się on ciekawością, która cechuje umysły szerokie i wdziękiem, którego często zbywa umysłom obdarzonym siłą. Pisarz ten stanowi jeden z wypadków granicznych: niezwykłe poczucie subtelności przy braku poczucia systemu tak całkowitym, że to wprost wydaje się patologiczne.

Pisarze współcześni pozbawieni poczucia systemu nie tylko nie próbują nadrobić tego braku, ale nawet chlubią się nim (np. Gide, Barres, Nietsche, Bergson, ci dwaj ostatni zresztą mniej mają do tego powodów, niż inni). Jeśli zgodzimy się, że sprawa zasadnicza dla pisarza, równie jak dla każdego artysty jest być wrażliwym na rzeczy a nie na stosunki między rzeczami, na konkret, a nie na abstrakcję, można zgodzić się na to, że pisarz, który wydaje wojnę duchowi systemu składa dowód świadomości swego powołania. Przerost poczucia subtelności i kastracja poczucia systemu jest jedna z widocznych przyczyn powodzenia Gidea w dzisiejszym społeczeństwie. Również społeczeństwo idzie zapewne za naturalnymi skłonnościami, skoro lubuje się w spojrzeniach nowych, podniecających, zabawnych, czasem słusznych, a nie ma upodobania do myśli zorganizowanej, której zrozumienie wymaga czasu i uwagi; choć i to jej się czasem zdarza, na przykład z Descartes'em, ale wynika to z nieznajomości siebie, nigdy długo nie trwającej. Wystarczy wspomnieć ogólne upodobanie do myśli niezwiązanych w żaden system. Gide zaspakaja dwie potrzeby nieodłączne od współczesnych społeczeństw wykształconych, lenistwo i zmysłowość (powiedzmy intelektualna).

Jeśli zaobserwujemy, ile kobiety posiadają poczucia subtelności i to bardzo wyostrzonego, podczas gdy pozbawione są poczucia systemu, będziemy mogli powiedzieć, że pod względem zasadniczych cech charakteru literat jest kobietą (również z chęci podobania się). Można by powiedzieć, że w zakresie upodobań do literatury (literatury, nie myśli) i społeczeństwo jest kobietą. I rzeczywiście, wielkie sławy literackie (i to nie tylko niezasłużone sławy) powstawały od niepamiętnych czasów za sprawą kobiet. Zwróćmy uwagę na szczególne względy, jakimi obdarzają kobiety literatów w swych salonach; wynikają one z pewnością z podobieństwa charakterów.

Aleksandrynizm współczesnej literatury francuskiej. Główne cechy literatury zwanej schyłkową.

Dążenie do zagadkowości upodabnia naszych współczesnych pisarzy do pisarzy aleksandryjskich. Wypada jak najgoręcej zalecić amatorom literatury porównawczej przestudiowanie literatury aleksandryjskiej, która jak twierdzi jeden z poważnych krytyków (Couat) wykazuje wiele analogii z literaturą Francji współczesnej. Jednak okres aleksandryjski wydał „Argonautika" Apoloniusza, poemat, który nie znajduje we francuskiej poezji tego półwieku dzieła równej miary, dzieła które odznaczało by się tak długim oddechem i tak rasynowskim obrazem namiętności ludzkich.

Wskażemy niżej na cechy typowe dla literatur zwanych schyłkowymi w Grecji i w Rzymie, przyczem termin ten nie musi mieć znaczenia pejoratywnego, jeśli odnosi się do utworów niewielkiej miary co prawda, ale pięknych, które występowały często w okresach schyłkowych. Jak się okaże wszystkie wymienione cechy charakteryzują również pewien typ literatury francuskiej ostatniego pięćdziesięciolecia:

Kult hermetyzmu, rzadkości, wyszukana (exquisita oratio Pliniusza i Frantona) pogarda dla szerokiego oddechu wraz z tym, co może on przynieść z niedbalstwa pisarskiego.

Doskonałość formy, ubóstwo treści, religia formy i pogarda dla treści, praca artystyczna ma zastąpić inspirację. Brak bujności.

Poszukiwanie myśli lapidarnej, często doskonale pustej (sententiae Senek) Krańcowa prostota (zamierzona) obok krańcowej komplikacji: Francis Jammes i Valéry.

Pretensje naukowe, przynajmniej u Aleksandryjczyków. „Próbowali oni wprowadzić do poezji naukę, ale nie w jej formach wykształconych i ogólnych, ale w zakresie techniki i słownictwa naukowego" (Couat). Po tych cechach rozpoznaje się również jednego z poetów francuskich bardzo modnych obecnie. (Autor ma na myśli Supervielle'a. Przyp. Red.).

Obfitość doktryn literackich.

Olbrzymie miejsce dla zagadnień języka, metryki (gramatycy aleksandryjscy), poszanowanie więzów narzuconych przez prozodię; najwyższy hołd oddany pisarzowi, który pokonuje ich opór jak „niewolnik który tańczy ze spętanymi nogami". Myśl ta wyrażona kilkakrotnie przez Valery'ego pobudza go do tworzenia definicji całkiem aleksandryjskich: „Piękność jest produktem techniki autonomicznej... Poeta jest ten, któremu trudność nierozłącznie związana z jego sztuką podsuwa idee."

Nadrzędne znaczenie przypisywane poezji: olbrzymia przewaga w liczbie i znaczeniu poetów nad prozaikami. Aleksandryjczycy nie mają „wielkiego prozaika" (Couat). „Ten rok był szczególnie płodny w poetów" powiedział Pliniusz Młodszy (Ep. I).

Wielka liczba poetów równie godnych cytowania; co tłumaczy się tym, że wyznawana jest religia talentu, nie geniuszu, („Geniusz bez talentu jest niczem" — P. Valery). Podczas gdy epoki klasyczne Peryklesa, Augusta, Ludwika XIV cechuje mała liczba bardzo wielkich nazwisk.

Cechy publiczności owych okresów.

Podbijanie ceny: Klaudiusz podziwiany jak nigdy nie był podziwiany Wergiliusz, Valery jak sławny jak nigdy nie był nim Racine.

Wpływ kobiet (Couat).

Skłonność do doktryn irracionalnych i mistycznych. Rozwinięta na skutek wojny wiara w proroctwa, sny, fetysze.

O realnej ludzkości z którą literatura współczesna chce zerwać.

Zastanówmy się do jakiego rozbratu pragnie doprowadzić ten typ literatury współczesnej o którym mowa. Ogłasza ona zerwanie niewiele (co byłoby słuszne) z publicznością obcą wobec wszelkiego dzieła nieco surowszego, wielbiącą grzeczności jak mi dinetka, ale i z krzepką publicznością wrażliwą na wysokie formy sztuki, z „poczciwcem starej Francji", z tym którego zachwycała pani de la Fayette, Montesquieu, Rousseau, Chateaubriand, Taine, Renan, Flaubert, Hugo. Nawet

Baudelaire i Verlaine: ale nie wierzy on w **literaturę sama w sobie**, nie związaną z wartościami intelektualnymi, nie wierzy w wyłączną wartość techniki słownej.. Przed taką właśnie publicznością, a nie tylko przed klientelą Franciszka Coppée, czy Anny de Noailles pragnie „bronić się" (według twierdzenia Valery'ego) literatura współczesna i to w ten sposób, że zaczyna być potrzebna (według Thibaudet'a) tylko literatom i ich otoczeniu. Ta właśnie całkiem nowa dążność do odwrócenia się od społeczeństwa zrywa z wybitnie społecznym charakterem tradycji pisarskiej i nadaje literaturze tego okresu cechy specyficzne, wyróżniające ten okres w historii literatury. „Poczciwcowi" nie zabrakło z tego powodu strawy literackiej, szczególnie w zakresie powieści, gdyż dzieła Mauriaca, Martin du Garda, Jules Romainsa czy nawet Prousta w przeważnej części zadowoliły go. Nawet jeśli potrafiły się „obronić" przed czytelnikiem Jerzego Ohneta.

Jednak stracił on wiele w zakresie poezji; nie widzę w poezji od czterdziestu lat artysty większej miary, któryby nie był ezoteryczny. Można nawet obawiać się, czy w wypadku, gdyby taki mistrz się pojawił —jakiś nowy Hugo — i gdyby został wyszydzony na cenacle'ach, czy poczciwiec miałby odwagę ocenić go i wyrazić swoje upodobania. Gdyż w zakresie poezji koterie onieśmielają swój wiek.

O nowym rodzaju literackim, Liryzm ideologiczny

W drugiej połowie XIX wieku ukazał się w literaturze nowy rodzaj literacki, który nazwałbym liryzmem ideologicznym. Głównymi jego przedstawicielami są w Niemczech Nietsche, we Francji Franciszek Barrès, Gide, Valéry, Alain. Nowość polegała na wprowadzeniu do tematów lirycznych nie tylko uczuć, ale i idei, aby następnie posługiwać się nimi nie według zwyczajów intelektualnych,jak robił to Saint - Evremond lub Rousseau, aby wziąć za przykład pisarzy uprawiających twórczość literacką — ale operować nimi ze swobodnym subiektywizmem. W istocie, pisarze współcześni o których mowa wyrażają poglądy na historię, politykę, sztukę, naukę, naturę ludzką, które nie mają oparcia ani w rozumowaniu ani w doświadczeniu (nie mają oni zwyczaju podawania faktów, cytowania tekstu, powoływania się na opinię; znajdujemy u Alain'a całe stronice poświęcone Platonowi, Kantowi, Augustowi Comte bez jednego cytatu) ale tworzą czyste twierdzenia bez uzasadnienia, wyrażane już to na w sposób całkiem liryczny jak to robi Barrès i często Gide, już to w tonie stanowczym i niezbitym jak Alain i Valéry, tonem który u tego ostatniego nabiera szczególnych akcentów na skutek użycia terminów matematycznych. Brak myśli odpowiednio uzasadnionej występuje u nich tym wyraźniej, że chętnie posługują się ci pisarze myślą luźną. Zresztą niejeden z nich manifestuje swą pogardę dla myśli żmudnej i uzasadnionej. Wygłaszają hymny pochwalne na cześć myśli - błyskawicy, na cześć intuicji, jak gdyby intuicja słuszna lub po prostu sugestywna nie była wyjątkiem. W ogólności, jeśli obedrzeć ich myśl do naga z uwodzicielskich zwrotów poetyckich, z omamiającej formy ultimatum i oczarowującej wirtuozerii sofistycznej, zostaną czyste truizmy lub twierdzenia niezgodne z prawdą w sposób tak rzucający się w oczy, że nie warto się o nie spierać.

Ten rodzaj literacki cieszy się powodzeniem pośród laików; nie dlatego jakoby dopatrywali się w tych myśli (i słusznie) projekcji pewnych osobowości, nie zwracając uwagi na słuszność tych myśli: przeciwnie, dlatego, że uważają je za myśli prawdziwe i to wysokiej klasy; nieskończenie wyższej, jak twierdzą, od idei „pedantów", tym mianem bowiem określają ludzi, którzy żądają dziesięciu lat analizy dla godziny syntezy. Dorzućmy, że pisarze, o których mowa, nie robią nic więcej poza formułowaniem myśli, często bardzo szczęśliwym (szczególnie Alain) a brak im przy tym zdolności do krytyki, która często musi się odznaczać wielką precyzją, aby ujawnić kryjące się w nich sofizmaty. Z tych powodów rodzaj ten wydaje nam się szkodliwy dla wykształcenia intelektualnego ludzkości: pozwala jej bowiem sądzić, że myśli, podczas gdy nie myśli i odsuwa ją bardziej niż kiedykolwiek wraz z jej fałszywymi, pikantnymi myślicielami od myślicieli prawdziwych i surowych.

ADAM BROMBERG

O szkolną kampanię wydawniczą

Sprawa podręczników szkolnych, omawiana już wielokrotnie w „Kuźnicy" *), jest ze spraw wydawniczych najważniejszą. Stało się już u nas zwyczajem niecierpliwe narzekanie na brak podręczników, na niewłaściwe ich rozprowadzanie. Jednocześnie na odcinku wydawniczym podręczników szkolnych mamy przecież jeden ośrodek dyspozycji — Ministerstwo Oświaty — mamy planowanie produkcji na dłuższą metę, mamy pełną możność przewidzenia nie tylko rozmiarów produkcji, ale i zapotrzebowania, szybkości „realizacji" (sprzedaży) nakładu. Dlatego sprawa podręczników szkolnych — podstawa upowszechnienia oświaty i moralnej pracy naszej szkoły — jest jednocześnie miarą naszej sprawności organizacyjnej, jeszcze jednym sprawdzianem umiejętności wyłuskiwania spośród spraw ważnych tej, w każdej dziedzinie najważniejszej, i mobilizowania wszystkich środków dla jej załatwienia.

Te gromkie słowa stają się koniecznością wobec niedostatecznego zaopatrzenia szkół w podręczniki. Nie wystarczy bowiem ogólnie uznawać ważności podręczników szkolnych. Nie wystarczy samo wydawanie podręczników. Trzeba je wydać na czas, dostarczyć szkole przez 1 września. Każdy dzień opóźnienia — to poważne utrudnienie nauki dziecku i dodatkowe umartwienie, udręka dla rodziców. Stąd cykl produkcyjny książek szkolnych; aby książka szkolna w dostatecznym nakładzie dotarła do ucznia 1 września musi być w pierwszych miesiącach roku gotowa do druku, wydrukowana najpóźniej w drugim kwartale i oprawiona najpóźniej do końca lipca.

Czy te truizmy wydawnicze są w pełni doceniane? Jakie są perspektywy nowego sezonu szkolnego? Jaka sytuacja na szkolnym odcinku rynku wydawniczym?

Największym wydawcą podręczników szkolnych są Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Wydały one do 31 grudnia 1945 roku 149 książek o łącznym nakładzie 14,3 miliona egzemplarzy. Ogromna większość wyprodukowanych w r. 1946 książek to podręczniki dla pierwszych czterech klas szkoły powszechnej. Z innych wydawców obszerny dział podręczników szkolnych posiada „Nasza Księgarnia" oraz szereg prywatnych firm wydawniczych: Książnica Atlas, Gebethner i Wolff, St. Arct i in. Rolę każdego z tych wydawnictw na naszym rynku wydawniczym ilustrują ich plany wydawnicze na rok 1947, które — w dziedzinie podręczników szkolnych — podaje poniższe zestawienie: (kolejność wg. wysokości przewidywanych nakładów lektury — poza PZWS, który podaje nakład łącznie — pomijamy):

	Podręczniki gotowe do druku	Lektury i Ks. dla nauczycieli (PZWS)	Nakład w tys. egz.
Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych	124	57	25.000.000
„Nasza Księgarnia"	26		3.750.000
Gebethner i Wolff	10		1.170.000
Książnica Atlas	48		615.000
Radliński (nakładem autora)	1		200.000
Tow. Chrystusowe, Poznań	1		200.000
Stanisław Arct	5		150.000
Kamiński, Kraków	9		135.000
Inne wydawnictwa	25		200.000
Łącznie gotowych do druku podręczników, nakład 31.420.000 egz.	249		

Mamy więc na dzień 1 kwietnia br. 249 podręczników całkowicie gotowych do wydania, lub nawet będących w różnych stadiach realizacji! Znalazły się kapitały, są wydawcy dla 31 milionów podręczników szkolnych!

Do planu tego mogą być jeszcze wniesione jakieś korektywy. Znalazły się w nim podręczniki, dublujące te które już wydano: są to może książki, które nie muszą być wydane w pierwszej kolejności. Ale obok tych możliwych ograniczeń zaplanowanych podręczników wiemy z bezpośrednich informacji, że „Czytelnik", „Książka" i „Wiedza" wydają po jednym (symbolicznym!) podręczniku. Może jeszcze są „ukryte", nie zgłoszone do Ministerstwa Oświaty, pozycje podręczników w innych wydawnictwach. Komisja Ocen Ministerstwa Oświaty też może w najbliższym czasie przekaże do produkcji jeszcze kilka niezbędnych dla pierwszych klas szkoły powszechnej podręczników, tak że cyfrę planu — 30.000.000 podręczników — można uważać za zamierzoną cyfrę produkcji na rok bieżący.

Wyżej przytoczone cyfry świadczą o sytuacji na interesującym nas odcinku wydawniczym zgoła odmiennej od zeszłorocznej. Na 1 września ub. roku PZWS były jedynym niemal dostawcą podręczników. Przy poważnym braku rękopisów i wydawców produkcję hamowały tylko niedostateczne kapitały obrotowe i trudności techniczne w jedynej drukarni PZWS. Natomiast braku papieru w roku ubiegłym wydawcy podręczników szkolnych nie odczuwali. Przeciwnie — PZWS jeszcze w roku bieżącym w trudnych miesiącach zimowych korzystały z posiadanych zapasów.

Natomiast w roku 1947 rzuca się w oczy duża ilość gotowych rękopisów — 249, przy czym PZWS przoduje tylko w podręcznikach o masowych nakładach (powyżej 100 tysięcy, przeznaczonych dla szkoły powszechnej) — 124 tytuły i 25 milionów egzemplarzy. W tej dziedzinie poważniejsze znaczenie ma jeszcze Nasza Księgarnia i Gebethner i Wolff (łącznie 36 tytułów i 5 milionów egzemplarzy). Pozostałe wydawnictwa zgłosiły plany niemal wyłącznie podręczników gimnazjalnych i licealnych o małych stosunkowo nakładach. Pierwsze miejsce zajmuje Książnica Atlas z 48 gotowymi do druku podręcznikami, atlasami i mapami, zatwierdzonymi już do użytku szkolnego.

Jeśli więc wszystkich tych wydawców zobowiązujemy do dostarczenia szkołom zgłoszonych do planu gotowych podręczników w wystarczających nakładach do dnia 1 września br., jeśli zatem w tym terminie ma szkoła otrzymać 30 milionów podręczników — to drukarnie muszą je wydrukować najpóźniej w maju i czerwcu, a introligatornie oprawić w czerwcu, lipcu i sierpniu.

Powiedzmy sobie od razu — aparat techniczny PZWS, ich drukarnie własne, wszystkie możliwe wysiłki „zawodowych" (wyłącznych) wydawców książek szkolnych temu zadaniu nie podołają. 30 milionów podręczników na 1 września może zapewnić tylko szybka decyzja najwyższych czynników państwowych, uznająca bieżący kwartał — kwiecień — maj — czerwiec za okres „kulturalnego siewu wiosennego" i mobilizująca wszystkie środki szkolnej kampanii wydawniczej.

W tej kampanii poważną rolę odegra oczywiście Ministerstwo Oświaty i Komisja Ocen musi przyśpieszyć zaopiniowanie przynajmniej tych ze złożonych jej rękopisów, które są niezbędne dla szkoły powszechnej na nowy rok szkolny. Ministerstwo Oświaty winno jednocześnie wystąpić z szeroką inicjatywą wydawniczą wobec wszystkich wydawców, liberalnie podchodząc do zatwierdzania dawnych podręczników szczególnie nauk matematycznych i przyrodniczych, o ile tylko mogą one choćby na pewien okres pomóc w pracy nauczyciela i ucznia. Jednocześnie jednak zatwierdzanie podręczników szkolnych musi stwarzać dobre warunki zbytu podręcznika, wyłączyć możliwość dublowania podręczników z tego samego przedmiotu i na tę samą klasę bez uzgodnienia z wydawcą i aż do wyczerpania wydrukowanego nakładu zatwierdzonej uprzednio książki. Przy naszym braku podręczników szkolnych nie można „zaskakiwać" np. wydawcy czytanki w pół roku po jej zatwierdzeniu własnym wydaniem czytanki na tę samą klasę, jak to miało miejsce z czytanką „Czytelnika". Inny przykład braku koordynacji pracy przy Związku Wydawców i Ministerstwa Oświaty: przy szalonym głodzie podręczników technicznych, ukazało się aż pięć identycznych niemal podręczników z dziedziny budownictwa żelbetonowego.

Ministerstwo Oświaty musi mieć możność daleko idącej ingerencji w sprawy wydawnicze i uprawnienia te w porozumieniu ze Związkiem Wydawców energicznie wykorzystywać szczególnie w wytworzonej obecnie sytuacji, kiedy jasne jest dla każdego, że PZWS same całkowitego zapotrzebowania szkoły nie pokryje. Co ważniejsze — monopol taki nie byłby wcale w interesie szkoły. Przeciwnie — trzeba rozszerzyć krąg wydawców książek dla szkół powszechnych, zainteresować jak największe kapitały wydawnicze w produkcji książek szkolnych, przestrzegając ściślej kalkulacji ceny przy możliwie największych opłacalnych nakładach. Łączy się z tym sprawa scentralizowania przydziałów papieru na podręczniki szkolne w Ministerstwie Oświaty i zaopatrywania w papier wydawców według hierarchii ważności danego podręcznika dla szkoły, pod warunkiem godziwej kalkulacji ceny i, odpowiednio do potrzeb, wysokości nakładu. Na przykład poszukiwana ogromnie Fizyka Zakrzewskiego wydana jest przez Kamińskiego w Krakowie w nakładzie... 3.200 egzemplarzy. Oczywiście, że na tę książkę — zwłaszcza jeśli jest ona jedynym podręcznikiem fizyki zatwierdzonym do użytku szkolnego — papier musi się znaleźć i to w ilości wystarczającej na nakład co najmniej dziesięciokrotnie większy; ale i cena ulegnie wtedy — mamy nadzieję — co najmniej trzykrotnej redukcji.

Decydującym jest interes szkoły — dostarczenie podręczników na 1 września. Dlatego słuszny jest postulat, że żaden wydawca — nawet PZWS — nie ma prawa przetrzymywania rękopisów podręczników szkolnych i zmniejszania nakładów w zależności od własnych możliwości technicznych, czy finansowych. A ileż to dawnych, nadających się do szkoły, podręczników fizyki, matematyki zalega szuflady posiadaczy praw autorskich! Ileż z takich rękopisów zachowują wydawnictwa na następne lata normalnego rozwoju. Weźmy dla przykładu „Książnicę Atlas", która wznowiła swoją działalność we Wrocławiu dzięki pomocy kredytowej i współpracy z drukarniami państwowymi. „Książnica" ma już w pierwszym roku pracy szereg cennych podręczników i map, ale przy całej życzliwości i poparciu trudno przewidzieć w jakich terminach uda się — wydać zgłoszonych 46 gotowych do druku podręczników, nie mówiąc już o dalszych 40 z dawnego katalogu Książnicy, które się nadają do reedycji.

Ruchliwą „Książnicę" — świetny aparat techniczny, zwłaszcza w dziedzinie kartografii i druków offsetowych — przytoczyliśmy dla przykładu, jako ilustrację konieczności wpływania przez Ministerstwo Oświaty na tworzenie spółek wydawniczych, mobilizowanie dodatkowych kredytów dla realizacji praw autorskich i wydawniczych w terminie najkrótszym, za wszelką cenę w bieżącej kampanii szkolnej. Trzeba zobowiązać każdego posiadacza zatwierdzonego rękopisu podręcznika szkolnego do wykonania nakładu na dzień 1 września, a jeśli to nie jest możliwe — do odstąpienia praw do jednego nakładu, odpłatnie, i to zarówno przez wydawców prywatnych, spółdzielczych, czy nawet PZWS. Do współpracy musi być na okres tej kampanii wciągnięty cały potężny aparat „Czytelnika", „Książki", „Wiedzy", wydawnictw i drukarń państwowych. Przeprowadzone obowiązujące rozmowy nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że ani jedna poważna instytucja wydawnicza nie uchyli się od takiej współpracy, nawet kosztem własnego planu wydawniczego.

Drugim, najważniejszym elementem szkolnej kampanii wydawniczej jest zaopatrzenie w papier. Chodzi o dostarczenie do dyspozycji Ministerstwa Oświaty dodatkowo na bieżący kwartał 5000 ton papieru. Ilość to niemała, ale w wypadku docenienia ważności sprawy może być zmobilizowana kosztem następnych kwartałów, kiedy natężenie pracy przy podręcznikach będzie bez porównania mniejsze. Taka ilość papieru, wynosząca jedną trzecią produkcji kwartalnej papieru drukowego, może być jednak oddana na książki szkolne tylko kosztem wszystkich innych dziedzin produkcji wydawniczej — to jest jasne, i naszym zdaniem takie ofiary muszą wszystkie wydawnictwa ponieść równomiernie. Można wystąpić z inicjatywą, by na przykład w ciągu miesiąca maja gazety nie ukazywały się w poniedziałki i by nasze „koncerny" prasowe podały do wiadomości publicznej, że zaoszczędzony papier w Miesiącu Oświaty przekazały na druk podręczników szkolnych. Czytelnicy okażą napewno pełne zrozumienie dla tego rodzaju ograniczenia. Poważne instytucje wydawnicze, podejmą niewątpliwie częściowo druk podręczników na własnych zapasach papieru, wstrzymując może na kilka miesięcy niektóre swoje wydawnictwa, zaplanowane na kwartał II-gi. Wreszcie rewizja dokonanego już rozdzielnika papieru umożliwi CUP-owi znalezienie pewnych rezerw do wykorzystania w drugim kwartale z dyspozycją tymi ilościami papieru w dalszych kwartałach.

Trzecim elementem szkolnej kampanii wydawniczej są ograniczone możliwości techniczne. Poważne trudności istnieją rzeczywiście w składzie matematycznym i przy oprawie W tej chwili dalecy jesteśmy od wykorzystania wszystkich naszych możliwości. Jako przykład może posłużyć chociażby rozkład Jazdy Orbisu, pięćset stron typowego składu matematycznego: skład i druk zakładów graficznych Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, którym się zapewne ten egzamin sprawności technicznej bardzo w pracy przyda. Ukazał się również trzystronicowy podręcznik strzelania w locie (dla oficerów lotnictwa) wydany b. starannie na Dolnym Śląsku, z wielką ilością wzorów i znaków matematycznych. — Właściwa hierarchia ważności książek i zdecydowane forytowanie podręczników szkolnych przez Centralny Zarząd Państwowych Zakładów Graficznych, zwłaszcza w drukarni Św. Wojciecha, (produkcja miesięczna ok. 3 milionów podręczników) i przez czołowe spółdzielnie wydawnicze, umożliwi pełną realizację planu — 30 milionów podręczników na 1 września bieżącego roku.

Sprawa dostatecznej ilości podręczników szkolnej przynajmniej dla klas I-VIII i możliwie dużego ożywienia produkcji wydawniczej dla gimnazjum, liceum, szkół zawodowych i dla dorosłych, podręczników uniwersyteckich i książek naukowych, sprawa szkolnej kampanii wydawniczej jeszcze nie jest przegrana. Ale może być przegraną, jeśli PZWS, świetnie zorganizowane, największe w Polsce, wydawnictwo nadal dźwigać będzie cały prawie ciężar druku podręczników szkolnych i pozostawione będzie sam na sam z odmierzanymi systematycznie, równomiernie na rok cały miesięcznymi dawkami papieru. Alarmujący stan rzeczy nie pozwala nam w tym roku przejść na spokojną, planową produkcję, — jeszcze w tym roku konieczna jest kampania, jeśli ma być w szkole 30 milionów podręczników na 1 września i dla tej kampanii muszą się znaleźć te same rezerwy energii które przełamały w swoim czasie trudności na kolejach, doprowadziły wydajność naszych kopalń do 500.000 ton węgla miesięcznie, radziły sobie ze znacznie poważniejszymi zagadnieniami, aniżeli koordynacja wysiłków wszystkich wydawnictw, drukarń i fabryk papieru na przeciąg trzech miesięcy.

Adam Bromberg

*

Niniejszym artykułem pragniemy rozpocząć dyskusję o sprawach wydawniczych, która winna się przyczynić do wytworzenia wokół nich, a szczególnie wokół sprawy podręczników szkolnych, atmosfery szczególnej uwagi całego polskiego świata kulturalnego.

*) Por np. „Kuźnicę", Nr 10/1947.

ANTONI BOHDZIEWICZ

FILMOWE PLANY I SNY

Są sprawy trudne i skomplikowane, które z wielką dla nich szkodą upraszcza się — i są sprawy proste, które się niepotrzebnie komplikuje.

Za takie proste rzeczy, które niektórzy magowie mocno i niepotrzebnie komplikują, skłonny jestem uważać zagadnienie polityki repertuarowej naszego powojennego filmu.

Pomówmy o temacie filmów pełnometrażowych, innymi słowy o beletrystyce filmowej, na jaką nasze ekrany tak długo a niecierpliwie czekają.

Wytwórczy przemysł filmowy w Polsce (wyposażenie techniczne, laboratoria etc.) — nie prędko osiągnie stan rzeczy z r. 39. Mamy także mało ludzi. Ale z tym co mamy — śmiało można nakręcić sześć pełnometrażowych filmów rocznie. Zatem — w ciągu najbliższych trzech lat—filmów 18!

18 filmów! Jakich? O czym? O królu Łokietku, o królowej Bonie? O Moniuszce, o Paderewskim? A może „Stara Baśń", może „Rozdroże miłości"?..

Należy do tej sprawy przystąpić z poważnym, gruntownie przemyślanym i zaaprobowanym przez kogo trzeba planem.

Plan... Ale czy wypada mówić o planowaniu w tak delikatnej sprawie, jaką jest praca artysty? *Spiritus flat ubi vult*, powiadają, nie można chyba zwołać pisarzy i narzucić im wprost tematów. Żeby np. pisali o tym, a nie pisali o tamtym. I żeby, powiedzmy, za pół roku dostarczyli gotowe (i udane!) rękopisy? Nie, tak nie można. Dzieło literackie na zamówienie — to nie jest ani proste, ani łatwe. Zresztą książek ukazuje się na rynku parę tysięcy rocznie i wobec tego twórczości naprawdę oryginalnej i wartościowej można zostawić pełną swobodę, niechże tu sobie *spiritus flat* rzeczywiście *ubi vult*.

Ale w filmie? W filmie, śmiem twierdzić, takie „zamówieniowe" postawienie sprawy jest zupełnie możliwe, nie będzie ani obrazą boską, ani artysty. Jeśli bowiem możemy nakręcić jedynie 6 filmów rocznie, to twórczy spiritus filmowców nie może sobie hasać beztrosko jak motylek po różnych kwiatkach (a to film o Moniuszce, a to nowela Edgara Poe!..) Dajmy tu też sobie pokój z zapowiadaniem filmowych arcydzieł, dzieł wspaniałych, które stanowić będą „punkt zwrotny" w dziejach kinematografii świata!"... Polska beletrystyka filmowa jeszcze przez dobrych kilka lat winna być beletrystyką użytkową, spełniającą poprostu w miarę sił najpilniejsze zadania społeczne i wychowawcze. A że film jest rezultatem pracy kolektywu, gdzie o jakiejś absolutnie swobodnej inspiracji jednostek nie może być mowy, to podporządkowanie kina zamówieniu społecznemu nie jest żadną tragedią! Przecież z tego nie wynika, że będzie się fabrykowało same nudne propagandowe piły, przeciwnie, w ramach zamówienia może się zmieścić każda forma, każdy rodzaj, nawet lekka farsa.

Tak więc — tematykę tych sześciu filmów rocznie należy poważnie przedyskutować, dokonując wśród wielu ewentualnych projektów starannej selekcji.

Jak się to robi? I kto ma to robić? To bardzo proste, jeśli nie będziemy bawić się w obrzędy masońskie. Należy zainicjować rozmowy i dyskusje w gronie kilkunastu osób do takiej dyskusji powołanych. Nie moją rzeczą wskazywać palcem, kto ma być „powołanym", ale jasne, że muszą się tu znaleźć pisarze, oświatowcy i działacze kulturowi. Ludzie z poza filmu, zato—lepiej od filmowców znający kulturalne potrzeby polskiego widza. Na innym miejscu — o takim centralnym ośrodku dyspozycyjnym dla filmu piszę obszerniej.

W takim oto gronie ustala się grupy najważniejszych tematów, które powinny w ciągu najbliższych trzech lat doczekać się omówienia w beletrystyce filmowej.

Dla przykładu: — kraj w latach wojny, nowa pozycja społeczna robotnika i chłopa, ziemie zachodnie (kopalnia tematów!), polskie morze, odbudowa Warszawy, opieka nad dzieckiem i młodzieżą, porachunki z przeszłością (z podkreśleniem tradycji polskiej myśli demokratycznej)...

Nie upieram się tu ani przy kolejności, ani przy tym, że lista jest kompletna. Chcę tylko wykazać, że ułożenie podobnego spisu nie jest żadną kwadraturą koła. Powołane do tego grono — z pewnością upora się z zagadnieniem w ciągu dwóch miesięcy, nie zapominając niczego, co jest ważne.

Oto pierwszy krok, który wiele wyjaśni, usunie wiele wahań, określi wyraźnie odpowiedzialność i kontrolę społeczną filmowej polityki repertuarowej.

Mamy tematy. Co dalej? Dalej trzeba ustalić ich kolejność w realizacji. Następnie — trzeba wybrane tematy podać istniejącym wytwórniom lub zespołom produkcyjnym, ogłaszając coś w rodzaju przetargu na konkretny projekt realizacji (scenariusz, kosztorys, ekipa autorska etc.).

Wytwórnie zaś — drogą propozycji i rozmów ze swymi ludźmi szukają odrazu rodzicielskich par, które zgodziły się by pożyć ze sobą i dzieło zamówione spłodzić. Parę rodzicielską tworzą: pisarz — scenarzysta i filmowy reżyser. Obaj — od pierwszej chwili aż do końca, do samych narodzin — winni pracować razem. Owszem, można przy doborze pary pilnować zasad eugeniki, tj. uważać na zdolności twórcze partnerów, na ich temperamenty i sympatie, można ważyć długo kwestię zaufania i odpowiedzialności, proszę bardzo!.. Ale nie można trzymać pisarza i reżysera w osobnych klatkach i zapładniać partnerów sztucznie, przenosząc plemniki pomysłów w pipetce! Bez rozkoszy bowiem, jaką daje współtworzenie — oczekiwane dziecko będzie rachitycznym i bezpłciowym tworem.

Otóż tego prostego, elementarnego wprost warunku tworzenia rzeczy wartościowych — kierownictwo „Filmu Polskiego" do dziś dnia nie rozumie! Zamówiono tam i zakupiono setkę czy więcej scenariuszy, nie mając do żadnego z nich matki—reżysera! Ja wiem: matek—reżyserów w „Filmie Polskim" nie ma wiele, ale przynajmniej tym, które są — należało dać przywilej pracy nad dziełem od samego początku! Znam fakty, kiedy się pisarze o to wyraźnie upominali, a dyrekcja „Filmu" zbywała to milczeniem, albo odpowiedzią, że wszyscy „są zajęci"! Co nie było prawdą.

Ten, jak mówię, elementarny warunek udania się dzieła — nie był zachowany ani przy filmie „Dwie godziny", ani przy filmie „Jutro premiera". W obu tych imprezach kucharki autorskie zmieniały się raz po raz, aż w końcu skończyło się akurat tak, jak w przysłowiu o kucharkach: filmów nie ma!

Nie przeczę: można i należy obok tego napełniać tekę Biura Scenariuszy pomysłami. Ale winny to być właśnie pomysły, tj. rzeczy rozpracowane bardzo zwięźle, na kilku czy kilkunastu stronach. Nie ma natomiast najmniejszego sensu zamawiać u pisarza, a nawet u zawodowego scenarzysty pełnego scenariusza, pełnej opowieści ze wszystkimi szczegółami, dopóki nie zapewni się przy tym udziału matki—reżysera! Nie ma sensu z punktu widzenia artystycznego, a jeśli ten argument wydaje się komuś mało ważny, powiem krótko: szkoda na to pieniędzy, będą to bowiem pieniądze wyrzucone.

Idźmy dalej. Plan repertuaru zrobiony, tematy rozdane, zatwierdzono konkretne pomysły, autorskie pary pracują. Dodajmy do tego dobrą organizację roboty, sprężystych kierowników produkcji, a otrzymamy wszystkie dane, że owe sześć filmów rocznie nie pozostanie tylko na papierze. W określonym terminie zjawi się napewno scenariusz literacki i drehbuch, zdjęcia i montaż i wreszcie premiera gotowego filmu.

Zagadnienie kontroli w toku pracy. Kontrola wydatków, sprawności organizacyjnej — o taką kontrolę proszę bardzo. Ale w zakresie prac czysto autorskich kontrola może dotyczyć jedynie tego, czy prace te idą po linii wykreślonej ideologiczną treścią tematu, czy sens zamówienia społecznego nie zostaje tu wypaczony. Natomiast problemy artystyczne wiążą się ze sprawą zasadniczego zaufania do pisarza i reżysera. Stosujcie jakie chcecie filtry i sita i nawet ów słynny magiel konferencyjny, dopóki waży się sprawa: kto z kim? Kiedy jednak autorska para jest już po ślubie, nie należy podglądać alkowy przez dziurkę od klucza, czy co gorsza, włazić tam z pomocnikami!

„Ależ nikt nie jest nieomylny! Słabe miejsca znajdujemy u największych majstrów! A w tak kosztownej imprezie, jaką jest film — należy takich słabych miejsc za wszelką cenę uniknąć!"... Dobrze, możemy się i o to postarać. Ale jakiż jest tu sposób, który by nie uwłaczał naturalnym ambicjom autora czy nawet zwykłego, znającego swój fach rzemieślnika? Tylko ten jeden: dać im doradców, których sami wybiorą, albo przynajmniej zaaprobują! Każdy autor i reżyser wysłucha spokojnie i uważnie ostrej nawet krytyki, jeśli krytyka wyjdzie od osób, które zna i do których ma zaufanie. Zdenerwuje się natomiast i zatnie w uporze, jeśli do jego artystycznej roboty zacznie wścibiać nosa ktoś, uprawniony do tego jedynie tytułem dyrektora czy cenzora. Nie, tej delikatnej roli nie może pełnić najbardziej szanowna rada czy dyrekcja!

Otóż twierdzę, z całą stanowczością, że żadna z tych zdrowych, a w moim pojęciu — jedynych metod — nie była i nie jest stosowana w przedsiębiorstwie „Film Polski". Stosowany tam jest natomiast permanentnie ów magiel narad i konferencji, asekurowanie się na wszystkie strony przez ciągłe dobieranie nowych „poprawiaczy" i przez ciągłe rady: co, jak i czym. Rady które i starszych i młodszych doprowadzają raz po raz do zrozumiałej rozpaczy.

A przede wszystkim — nie było w „Filmie Polskim" samego planu produkcji!

Nie chcę być gołosłowny. Proszę, oto fakty:

— najbardziej oficjalne zapowiedzi kierownictwa „Filmu Polskiego" (w prasie i w radio) — wymieniały w pierwszej fazie działalności przedsiębiorstwa (grudzień 1945) następujące projekty filmów pełnometrażowych:

— „Robinson Warszawski",
— „Zakazane piosenki",
— „Dwie godziny",
— „Jutro premiera"...

Że te pierwsze zapowiedzi nie wynikały z jakiegoś przemyślanego planu, świadczyć może pozycja: „Jutro premiera!" (film o Moniuszce). Kogóż u diabła, mogą dziś obchodzić miłosne wzdychania librecisty Wolskiego czy marzenia historycznej śpiewaczki, która chciała zostać jaśnie panią hrabiną? Popularyzacja opery „Halka"? „Halka" jest już i tak popularna, za bardzo nawet! Przyznając bowiem dziełu muzyczne wartości, musimy odmówić jakichkolwiek — librettu, które oddawna nadaje się do rupieciarni. Więc może popularyzacja samej muzyki? Zrobi to lepiej i znacznie taniej Polskie Radio! A może ambicja zrobienia filmu historycznego? Czemuż nie dać w takim razie historycznego filmu o księdzu Ściegiennym? O rewolucji krakowskiej (wspaniały temat)? O Kościuszce, o powstaniu listopadowym? Jeśli oczywiście, w ogóle stać nas w obecnej chwili na to, żeby się wysadzić na film wymagający tak kosztownej oprawy (dekoracje i kostiumy)!.. Moim zdaniem — jeszcze nas na to nie stać. Historyczny!.. Jakież to u licha, porachunki z historią załatwiamy w filmie o Moniuszce? Rozumiem, kiedyś tam, po pięciu czy dziesięciu latach rozwoju naszej kinematografii można sobie ostatecznie na taką zabawę pozwolić, ale nie w pierwszych ubogich miesiącach po wojnie!

A może mamy tutaj to, co się dziś modnie nazywa escapizmem? Że niby, panie tego, dość już okropności i poważnej problematyki, że trzeba od tego uciec, pobawić się, potańczyć i pośpiewać? Cóż, sama myśl nie jest zła... Ale ani nieszczęśliwa Halka, ani Moniuszko bez butów, ani gubernator Aleksandrow — nie są nam do tego potrzebni! Chcecie dobrego wzoru beztroskiej zabawy, która by jednocześnie miała jakiś sens społeczny, to proszę: zróbcie coś w rodzaju sowieckich filmów „Wołga, Wołga..." czy „Świat się śmieje".

Dalszą historię filmu: „Jutro premiera" znamy. Męczyło się nad nim kilka kucharek (Teoplitz, Zimińska, Sygietyński, Zarzycki, znowu Sygietyński, Fethke, Uniechowski i francuz Colasson), wydano na przygotowania kilka milionów i w rezultacie okazało się, że ktoś tam czegoś nie przeczytał (nie miał czasu?), nie zatwierdził i że produkcję należy... wstrzymać w ogóle!

Pozycja „Robinson Warszawski", z którego „Film Polski" dla powodów absolutnie niezrozumiałych zrezygnował, była — trzebaż złośliwego trafu, właśnie najmocniejszą pozycją! Powiem więcej: jedyną pozycją na rozpoczęcie produkcji!

Pomyślmy tylko: oto milionowe miasto zamienione w upiorny cmentarz! W mieście tym — po lochach i strychach ukrywają się ludzie, warszawscy robinzonowie, czekający na odsiecz! Wspaniały temat, niepowtarzalny! Bez żadnej przesady: tego jeszcze w tematyce filmowej nie było! Cóż za atuty propagandowe na zagranicę! Mogłoby to zrobić furorę (i kasę!), może większą nawet od „Ostatniej szansy" szwajcarskiego Praesensu!

Ale nie! Z takiej właśnie pozycji „Film Polski" z tajemniczych powodów rezygnuje. Zapytacie dlaczego? Ford raczy wiedzieć! Może czeka się tu na zupełną odbudowę Warszawy, żeby móc nakręcić całkowicie w dekoracjach atelierowych? Które będą oczywiście i tańsze i „ładniejsze"!.

„Dwie godziny" — to historia powrotów wojennych. Odnajdywania się i załatwiania życiowych porachunków. Sama rzecz nie w moim, powiedzmy, guście, ale o to mniejsza... Tematycznie — wszystko w porządku. Ale oto dalsze dzieje filmu: Szelburg - Zarembinę poprawia Szancer, Szancera poprawia Wohl, Wohla poprawia Wyszomirski, a potem z powrotem! Tylko Szelburg-Zarembina ma tego dosyć, protestuje i żąda zmiany tytułu. *Silence, on tourne!*... Gotowe!... Kucharze w konsternacji: coś nie wyszło!... Wobec tego film na półkę! Kto odpowiedzialny? Trudno ustalić. Oto do czego doprowadza metoda sześciu kucharek!

„Zakazane piosenki". Pomysł dobry: pokazać lata ucisku od tej strony, gdzie z wrogiem walczyło się uśmiechem i piosenką. Pomysł, mówię, dobry, ale czy dobry na pierwszy film pełnometrażowy? Napewno nie! Co innego, gdyby to była krótka impresja na marginesie poważniejszej produkcji. I tak zresztą miało być. Ale kiedy „Robinsona" z ręki wypuszczono, a publiczność zniecierpliwiona czekała — zaczęto na gwałt scenariusz „Piosenek" rozdymać, doczepiać doń fabułę i postacie (niestety, całkowicie papierowe!). Reklama zatrąbiła: oto pierwszy film z czasów niewoli!!! Widz oczekiwał pełnego przekroju tych strasznych lat, a dostał?—płytkie spojrzenie bezpiecznego przechodnia, który przez cały czas okupacji słyszał tylko piosenki... Intencje realizatorów i oczekiwania widza rozminęły się i to ostro. A przecież można było tego uniknąć! Próbowano ratować sytuację, pokazując na końcu pożar stolicy i marsz przystojnego Duszyńskiego na Berlin, ale nie uratowano, bo na ratunek już było zapóźno!

Taką była pierwsza faza działalności produkcyjnej „Filmu Polskiego" na odcinku długiego metrażu. Działalności pozbawionej jakiegokolwiek planu. O co zresztą — w owym czasie nawet nie można było mieć wielkiej pretensji. Wszyscy wtedy chodzili z uczuciem: oto przeżyliśmy lata straszne, ale i pełne chwały! Gdzież, jak nie w tych latach czerpać tematy do książek, tomików poezji, sztuk teatralnych i filmów? Ten nastrój, to powszechne pragnienie znalezienia natychmiast gotowego wyrazu dla rzeczy *„vues et vecues"*—były wtedy psychologicznie zupełnie zrozumiałe.

O jakieś otrzeźwienie, o stworzenie planu repertuarowego wołałem już rok temu. Na zebraniach filmowych i w prasie. Na próżno!

Czy napróżno? Przecież w marcu 46 dyrekcja „Filmu Polskiego" ogłosiła urbi et orbi: plan? Mamy plan! Oto w najbliższym czasie (sic!) realizujemy: „Przedwiośnie" Żeromskiego, „Klub kawalerów" Bałuckiego, „Wychowanie europejskie" Garry'ego, „Zemstę" Fredry i film o kaźni oświęcimskiej reż. Jakubowskiej...

Słowa na wiatr, opowiadanie snów, a nie plan!

Dlaczego np. „Przedwiośnie"? Że to Żeromski? Że akurat ukazało się nowe wydanie? Jakież racje artystyczne przemawiają za przeniesieniem na ekran książki, która przecież bez swego języka nie potrafi jako dzieło sztuki istnieć? A racje społeczne? Otóż problematykę społeczną „Przedwiośnia" można rozwinąć w scenariuszu specjalnym, odrazu przystosowanym do wymagań filmowych, po co do tego Żeromski? Po co porać się z balastem walorów *par excellence* literackich? Jedyna racja, którą w tym projekcie dostrzegłem, to pragnienie asekuracji przed ryzykiem kosztem znanego nazwiska i tytułu. Nikła racja!

Dlaczego np. „Wychowanie europejskie"? Ba, książka napisana przez francuza i o polskiej partyzantce! No to co? Dlaczego nie polskie dzieło na ten sam temat? Czy może książka Francuza jest tak doskonała? Nic podobnego. Przeciwnie, książka jest słaba. Dodatkowy i bardzo pikantny szczegół: wysunięto ten projekt, nie znając w ogóle tekstu książki! Tekst w owym czasie znał jedynie ob. Jan Kott! Owoc przemyślenia i długich rozważań, prawda? Plan, prawda?

Dlaczego „Zemsta" Fredry? Czy Fredrę można i warto przerabiać na ekran? To całe zagadnienie. Może tak, może nie, osobiście śmiem w to wątpić. Ale co szkodzi zapowiedzieć? Co to kosztuje? To tak obiecująco brzmi! I planowo, prawda?

„Front Birkenau", film o Oświęcimiu — jest w tym całym wykazie jedyną pozycją, której można bronić. Wiem, to może być film ponury i dla widza trudny do strawienia. Ale mimo to taki film winien być nakręcony. Nawet przy wielkiem nakładzie środków i pracy.

Znacznie później dowiedzieliśmy się jeszcze o jednym projekcie, który zresztą w przeciwieństwie do pozostałych — dość szybko doczekał się konkretnej realizacji. „Ulica Graniczna" według scenariusza Fethkego i Starskiego, a w reżyserii Forda. Jak sam tytuł mówi i tutaj chodzi o wojenną przeszłość: ulica Graniczna oddzielała żydowskie getto Warszawy od reszty świata. Tematycznie rzecz biorąc, zastrzeżeń żadnych zgłosić nie można...

Tak więc, w tym, co się obecnie nakręca, czy zapowiada na najbliższą przyszłość, główną pozycję nadal zajmują przeżycia z lat wojny. Otóż i w tym dostrzegam inercję, a nie plan! Jeśli bowiem chętnie przyznamy, że historie czasu wojny trzeba utrwalić także na filmowej taśmie, to zjawi się zaraz pytanie, czy to jest akurat najpilniejsza potrzeba? Czy nie należy tu poczekać, aż wrażenia autorów dojrzeją i pogłębią się? Jeden wyjątek: „Robinson Warszawski", ale bo to też jest pozycja zupełnie wyjątkowa! I dalej: czy sprawy i troski dnia dzisiejszego i przyszłe — nie powinny otrzymać bliższego miejsca w hierarchii tematów filmowych? Słyszę np. że Urbanowicz ma kręcić „Stalowe serca", to pewnie coś o Śląsku... Że Cękalski pracuje nad scenariuszem „Nauczyciel"... Bardzo dobrze!.. Ale parę jaskółek nie czyni jeszcze wiosny. Gdzież inne zagadnienia aktualne i ważne, choćby te, które wymieniłem wyżej? Co będzie po „Stalowych sercach" i „Nauczycielu"? A przede wszystkim — kto o tym decyduje i radzi? Jeśli plan jest, prosimy wyłożyć go, kawę na ławę, odważnie, z podaniem autorów planu i z uzasadnieniem. Chcemy o tym wiedzieć, mamy prawo o tym wiedzieć!

Mutatis mutandis — to samo powiemy o filmach krótkiego i średniego metrażu. To samo, tylko z jeszcze większym naciskiem. Bo środki służące oświacie są pierwszą rzeczą w akcji upowszechnienia kultury (por. „Komentarz" Żółkiewskiego w 12 nr Kuźnicy).

Niestety, i tu dowiadujemy się o realizacji rzeczy, których wybór wydaje mi się najzupełniej przypadkowy. Nakręcono podobno „Zdrdzieckie serce" Allana Edgara Poe. Dlaczego nakręcono, dla jakich względów? Owszem, może to być nawet rzecz artystycznie doskonała, ale przy naszych ograniczonych możliwościach ten czynnik o wyborze tematu nie powinien decydować. Filmowcy polscy winni się narazie wprawiać i pokazywać co potrafią — w takich filmach, które i polskiej sprawie społecznej służyć będą. A i tu przecież pełno artystycznych możliwości, prawda?..

Brak planu, a zamiast tego — opowiadanie nocnych snów dyrekcyjnych—przyniosło w rezultacie szalone marnotrawstwo czasu, pieniędzy i ludzkiej energii. Dwa lata ostatnie są tego jaskrawym dowodem.

A to są rzeczy, z których trzeba się będzie wyliczyć, bo czas i ludzie stanowią kapitał społeczny drogi nam wszystkim. Kapitał, który w innych rękach pozwoliłby może na stworzenie narzędzi sprawniej i precyzyjniej pracujących dla rozwoju polskiej kinematografii. „Film Polski" nie może być sklepem komisowym, gdzie wystawia się w oknie, co tam kto i kiedy przyniesie. Bosakiem można odepchnąć łódź od brzegu, dalej potrzebne są prawdziwe wiosła i ster. I dobra mapa trasy, jaką mamy odbyć.

Antoni Bohdziewicz

B. MOSIĘŻNIK

Na oczach świata*)

Wieść o losach i czynach działaczy i bojowców żydowskiego ruchu podziemnego ginęła najczęściej wraz z nimi; instytucje naukowe, a szczególnie Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce, która zajmuje się badaniem dziejów żydowskich podczas okupacji, spotykają niesłychane trudności w swojej pracy, zwłaszcza na tym odcinku, który dotyczy historii żydowskiego ruchu oporu. Okupant skrzętnie niszczył ślady swych zbrodni, zaś na podstawie zeznań nielicznych bardzo świadków, pozostałych przy życiu, można tylko w przybliżeniu zrekonstruować obraz wydarzeń.

Wyłomem pod tym względem było powstanie w getcie warszawskim, w kwietniu—maju 1943 r., gdzie bój odbywał się „na oczach świata" (tytuł broszury wydanej wówczas przez polskie czynniki podziemne).

Dziejom tego powstania poświęcona jest praca dra Kermisza, której w związku z nadchodzącą 4-tą rocznicą jego wybuchu chcielibyśmy poświęcić parę słów.

Jak wynika ze wstępu jest to studium oparte na materiałach, dostępnych autorowi w chwili opracowania, a przede wszystkim na raportach likwidatora getta warszawskiego, generała-majora Stroopa, dowódcy brygady SS. Prócz tego jako materiały do studium posłużyły liczne źródła żydowskie, relacje przywódców i uczestników powstania, wspomnienia i pamiętniki.

Czy raporty gen. Stroopa odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy? Czy można na nich opierać relacje o dziejach powstania? Szukając odpowiedzi na te pytania, autor zestawia te raporty ze źródłami żydowskimi, dochodząc do następujących wniosków: „Raporty Stroopa na ogół pokrywają się ze źródłami żydowskimi. Tak np. siły niemieckie, obliczone przez żydowskich uczestników powstania, pokrywają się niemal całkowicie z danymi generała Stroopa". Natomiast jeśli idzie o straty Niemców, to ze zrozumiałych powodów, Stroop je znacznie umniejsza.

„Zwycięski" generał ocenił w ogólnym raporcie niemieckim straty na 16 zabitych i około 100 rannych, wtenczas, gdy polskie czynniki oceniły te straty na 1000—1200 osób.

Mimo to, i napewno pomimo woli Stroopa, wspomniane raporty stanowią „epopeję heroizmu", z której nieświadomie Stroop zdaje sprawę.

Autor studium poświęca osobny rozdział omówieniu stosunku Polaków do powstania w getcie.

„Bohaterska walka bojowców żydowskich — pisze dr Kermisz — wywołała w postępowych kołach społeczeństwa polskiego żywą sympatię dla walczących oraz współczucie dla ofiar bestialstwa niemieckiego... Cała prasa podziemna z wyjątkiem tylko endeckiej „Walki" była pełna uznania dla powstania żydowskiego".

Po pewnym czasie nastroje się zmieniły. Nie przebierająca w środkach kłamliwa agitacja hitlerowska, która natrafiła, niestety, na podatny grunt (wychowanie sanacyjno-endeckie w Polsce przedwrześniowej), egoistyczna obawa o własny spokój, doprowadziły do tego, że sfery mieszczańskie „rzesze nowych kupców i handlarzy" obojętnie przyglądały się tragedii ludu żydowskiego, a czasami słyszało się głosy: „Dobrze, że nie naszymi rękoma".

Ale polskie organizacje robotnicze zrozumiały, że zbrojny opór ludności żydowskiej jest częścią ogólnopolskich walk wyzwoleńczych i pośpieszyły z pomocą bojowcom getta. O tym świadczy szereg akcji bojowych Gwardii Ludowej, dostarczanie broni i amunicji i doniosła rola w ratowaniu pozostałych przy życiu członków Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Powstanie w getcie warszawskim trwało krótko — od 19 kwietnia do 16 maja, kiedy „operacje na wielką skalę" zakończyły się wysadzeniem w powietrze gmachu wielkiej synagogi na Tłomackiem. Pozostały w getcie tylko luźne grupy bojowe.

Powstanie od dłuższego czasu przygotowywane, wybuchło wtedy, gdy po szeregu akcji i wysiedleń z przeszło 1/2 milj. mieszkańców getta warszawskiego, pozostało wszystkiego 50—60.000 żydów. Mylnym jednak jest pogląd, że zbrojne powstanie kwietniowe, było tylko aktem ostatecznej rozpaczy. Autor studium słusznie podkreśla związek między zbrojnym oporem ludu żydowskiego, a rozrastającym się, po Stalingradzie, potężnym ruchem oporu w całym kraju, dochodząc do wniosku, że powstanie w getcie było wynikiem przekonania i zrozumienia konieczności walki z wrogiem ludzkości — hitleryzmem.

Jakie elementy społeczeństwa żydowskiego zasłużyły się w powstaniu? Trzonem Żydowskiej Organizacji Bojowej były siły ludowe. „W obliczu wspólnego śmiertelnego wroga walczyli w jednym szeregu członkowie „Hechalucu" i PPR, Bundu i Poalej-Sjonu". Głównym motorem walki była młodzież, w grupach bojowych byli 14—15 letni chłopcy.

Praca dra Kermisza jest krótkim faktomontażem wydarzeń od 19 kwietnia do 16 maja. W porządku chronologicznym, na podstawie codziennych raportów Stroopa w zestawieniu ze źródłami żydowskimi — opowiedziano tu pokrótce dzieje drugiej bitwy o Warszawę (tak nazwały wówczas powstanie rozgłośnie koalicji antyhitlerowskiej).

Bitwa ta zakończyła się tragicznie. „Była żydowska dzielnica Warszawy (tak raportował Stroop o swoim „zwycięstwie") nie istnieje więcej". Mimo to powstanie, aczkolwiek z góry skazane było na klęskę, miało ogromne znaczenie moralne i polityczne. Wieść o nim dotarła do wszystkich istniejących jeszcze środowisk żydowskich w gettach i obozach. Pod jej wpływem stanęły do walki ghetta w Białymstoku, Częstochowie. Będzinie za broń chwycili więźniowie Sobiboru i Treblinki.

Studium dra Kermisza w znacznym stopniu wypełnia dotychczasową lukę w pracach badawczych Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej nad historią ruchu żydowskiego oporu w czasie okupacji hitlerowskiej. Są jednak w niniejszej pracy pewne niedociągnięcia; nie naświetlono sylwetek dowódców Żydowskiej Organizacji Bojowej, brak należytego tła politycznego, niedostatecznie zostały omówione momenty natury wojskowej (ilu ludźmi dysponowała Żydowska Organizacja Bojowa, jaki był jej plan strategiczny itd.).

Tłumaczy autora okoliczność, że praca napisana rok temu, stanowi jedynie studium z okazji 3-ciej rocznicy wybuchu powstania, że w chwili jej opracowywania szereg kwestii nie mógł być dostatecznie naświetlony z uwagi na brak wiarogodnych źródeł.

B. Mosiężnik.

---

*) Dr Józef Kermisz — „Powstanie w getcie warszawskim (19 kwietnia 16 maja 1943)". Wydawnictwo Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej. Łódź 1946.

PRZEGLĄD PRASY

Powstanie „Nowin" i przeniesienie „Odrodzenia" do Warszawy świadczy o powolnej, lecz nieuchronnej stabilizacji Warszawy jako głównego ośrodka kulturalnego. Jeszcze ten ośrodek jest rozbity, rozsypany w trzech punktach kraju, ale wszyscy orientujemy się, że tylko techniczne przeszkody i pozostałości wojennego zamętu utrzymują poza Warszawą te kilka pism, które na równi z „Odrodzeniem" i „Nowinami" są reprezentatywne dla dzisiejszego życia kulturalnego w naszym kraju.

Myślę, że konkurencja pomiędzy „Nowinami" i „Odrodzeniem" powinna nam wszystkim wyjść na dobre — zarówno pisarzom jak i czytelnikom. Obserwując kolejne numery tych czasopism muszę jednak stwierdzić, że w tym szlachetnym wyścigu „Odrodzenie" wysuwa się ostatnio na czoło. „Nowiny" jak gdyby chwilowo są w impasie. Być może, że to rozsądne oszczędzanie sił przed finiszem. W każdym razie ocena kolejnych numerów obu tych pism, zwłaszcza gdy przeprowadza ją recenzent bezstronny wypada korzystniej dla krakowskiego repatrianta. Oto numer 2 poświęcony w całości pamięci Karola Szymanowskiego. „Odrodzenie" podtrzymuje tu w całej pełni chlubne zresztą bardzo tradycje numerów specjalnych przedwojennych „Wiadomości Literackich". Numery te, jeśli je ktoś zachował, po dziś dzień mają swoją wielką wartość, przynosiły bowiem zazwyczaj sporo ineditów, dokumentów, ikonografii i zajmujących wspomnień o ludziach, którym numer był poświęcony.

Jeśli więc „Odrodzenie" zawiesiło na okres jednego tygodnia nader pożyteczne informacje, dotyczące aktualnych spraw kultury i poświęciło numer Karolowi Szymanowskiemu, to niewątpliwie dobrze zasłużyło się tym numerem nie tylko sprawie muzyki w Polsce, ale i ogólnej sprawie kultury. Wydaje mi się bowiem, że zbyt dziś jesteśmy przekonani o doniosłości zagadnień dnia dzisiejszego z krzywdą dla tradycji i przeszłości kulturalnej.

Numer monograficzny przynosi między innymi: artykuł Jarosława Iwaszkiewicza, omawiający literacką twórczość wielkiego kompozytora i jej filiacje z muzyką, osobiste wspomnienie Marii Dąbrowskiej „Kroniczka Elegijna", wspomnienie z lat zakopiańskich Heleny Roj, Anny Iwaszkiewiczowej — pięknie napisane wspomnienie o rozmowie z Szymanowskim po ostatnim jego koncercie w Polsce. Skolei głos zabierają fachowcy-muzycy: Adolf Chybiński w krótkim artykule wspomina o stosunku Szymanowskiego do dawnej muzyki polskiej, Stanisław Golachowski omawia poszczególne etapy rozwoju kompozytora i jego poglądy na muzykę europejską, Zdzisław Jachimecki szeroko opowiada w interesującym artykule o niegranej nigdy operetce Szymanowskiego, Zbigniew Drzewiecki w artykule „Od Ronda a la Mazur do wolty bridżowej" mówi nam o nowatorstwie muzycznym, zaś Zygmunt Mycielski o romantyźmie Karola Szymanowskiego. Pokolenie młodsze oddaje hołd pamięci kompozytora w artykule Jerzego Broszkiewicza „Nowa tradycja".

Ineditów, których dochowało się niewiele (jak to wynika z artykułu Juliusza Zborowskiego: „Z dziejów puścizny po Szymanowskim") drukuje „Odrodzenie" zaledwie kilka: są to listy kompozytora do Grzegorza Fitelberga i Zdzisława Jachimeckiego. Za to ikonografia w tym numerze jest nader obfita, obejmuje zdjęcia Szymanowskiego na przestrzeni wielu lat — od czasów ukraińskich aż do roku śmierci.

Następny (13) numer pisma jest nieco słabszy i właściwie prócz obszernego artykułu Stefana Żółkiewskiego „Materiały do dyskusji o uniwersytetach", który zgodnie z zapowiedzią redakcji ma otworzyć dyskusję nad tą ważną i palącą sprawą, nie wiele mamy tu do czytania.

Pozycją oddzielną, która również zasługuje na baczną uwagę jest artykuł Mieczysława Jastruna o przekładzie poetyckim. Ale ten artykuł wymaga już od czytelnika znajomości podstaw poetyki i wersyfikacji nie może być przeczytany stante pede, co oczywiście nie znaczy, by miejsce jego nie pinno było być w „Odrodzeniu". Przeciwnie —pomieszanie aktualności z teoretycznymi zagadnieniami, tym bardziej jeśli pisze o nich poeta, który zna te sprawy z doświadczenia własnego warsztatu, podnosi poziom i powagę pisma.

Aktualności zdecydowanie nie „wyszły" w 2 numerze „Nowin Literackich". Myślę tu o artykule Alicji Iwańskiej, który wydaje mi się niezwykle blahy, a co gorsza po prostu naiwny. Jeśli będziemy drukowali takie sprawozdania z Zachodu, to nie mamy prawa dziwić się potem, że nas skolei opisują w sposób nonsensowny. W dziale literatury: piękne wiersze Jerzego Zagórskiego i Stanisława Piętaka, proza Kazimierza Truchanowskiego.

„Nowinom" wciąż brak sprawozdań krytycznych, selekcja materiału nawet jak na pismo eklektyczne wciąż zbyt łagodna. Na pocieszenie mamy drugą skolei Kronikę Tygodniową Hochfelda. Ten dział wydaje mi się bardzo interesujący. A więc transponując na stare przysłowie: gdzie dwóch się bije..., ta przyjazna i szlachetna konkurencja pomiędzy „Odrodzeniem" i „Nowinami" liczę, że skorzysta na niej ktoś trzeci, a mianowicie czytelnik.

ph.

Ks. Piwowarczyk „Esprit" i ONR

Jeśli pragnę tym razem odświeżyć sprawy dość stare, to dlatego tylko, że dziś zaczynam dostrzegać ich dalszy ciąg. W kilku bowiem pismach obozu katolickiego w Polsce dały się zauważyć ostatnio pisane próby, usiłujące bądź to wybielać ciemne strony przeszłości, których lepiej nie tykać, bądź piętnować to, co w europejskim ruchu katolickim jest najbardziej postępowe i twórcze. Jedno zresztą wynika z drugiego, jedno i drugie ma ten sam grunt.

Z uwagą śledzę przeobrażenia wewnętrzne ruchu katolickiego w Europie, a zwłaszcza w Polsce. Fakt, że wśród intelektualistów zgromadzonych wokół Kościoła budzi się gorący prąd rozumienia przemian społecznych, ożywa obowiązek solidarności z reformą — napełnia nas radością. Świat myśli katolickiej jest stary i przeszedł wiele burz. Jeśli raz jeszcze po tylu doświadczeniach potrafi szukać własnych dróg do postępu, jeśli usiłuje z własnych rezerw wiary i świadomości wytyczyć kierunek katolickiej rewolucji — tym bardziej trzeba szanować wielkość tego wysiłku.

Nie należy mnie posądzać o złośliwy sceptycyzm, lub widzieć we mnie tylko kostycznego laika, który czyha na żer dla swych pamfletów. Często sięgam po katolickie pisma społeczno - kulturalne i czytam je dokładnie. Ale myliłby się, ktoby mniemał, że czytam je ze złą wolą. Przeciwnie: śledzę je z troską. Tyleż radości sprawia mi uczciwy w nich artykuł i głęboka myśl, ile niepokoju — obłuda czy ciemnota. Mam bowiem tę wadę usposobienia, że czytam nie tylko słowa, ale i myśli za nimi ukryte. Darujcie: lektura listów pasterskich wykształciła we mnie tę pojętność.

Kilka tygodni temu przeczytałem w „Tygodniku Powszechnym" wielką wypowiedź ks. Jana Piwowarczyka o wierności wobec Kościoła. Jest to człowiek, którego głos w sprawach kościelnych ma dziś w Polsce niewątpliwą wagę. Czytałem jego słowa z tym uczuciem szacunku, jakie ogarnia mnie na widok przeciwnika świadomego swych słabości. Nie ukrywam bowiem, że zasadnicze stanowisko zajęte w tej wypowiedzi było mi z gruntu przeciwne. Przeciwne — bo dyktowane nie troską o dobro postępowej myśli katolickiej, lecz tylko troską o interesy Kościoła. Lecz pewne fakty postawione są tam szczerze i jasno — a to w dzisiejszej publicystyce jest rzadkie i cenne.

„Z pewnością" — pisał ks. Piwowarczyk — „byłoby przesadą mówić o niebezpieczeństwie jakiejś zbiorowej schizmy lub apostazji. Niemniej jednak występują zjawiska niepokojące. W szczególności we Francji... I to w kołach tzw. intelektualistycznych. Jednym z nich jest działalność grupy, która się skupia około miesięcznika „Esprit", wydawanego przez Mouniera. Zmierza on poprzez ostrą krytykę władz Kościoła w sprawach społecznych do jakiegoś „porozumienia" z obozem rewolucji. Nie tylko w praktycznej akcji przy budowie państwa, ale i w zakresie „teorii społeczeństwa" i jego ustroju. W tymże „Esprit" pojawił się przed rokiem artykuł, w którym autor domagał się od władz Kościoła przyznania katolikom „prawa do marksizmu". A zaś w ankiecie, którą ten miesięcznik rozpisał i potem ogłosił na temat stosunku „świata chrześcijańskiego" do „świata nowoczesnego", jeden z jej uczestników, katolik, odrzuciwszy „społeczną doktrynę Kościoła" i społeczne encykliki papieskie, jako już rzekomo nieaktualne, oświadczył: „Jeśli taka ma być „Cywilizacja Chrześcijańska" to oświadczamy, że nie będziemy walczyć o „Cywilizację Chrzaścijajńską". U nas w Polsce takich objawów dezercji nie ma wśród katolików" — dodaje ks. Piwowarczyk.

Dezercja. Tak ksiądz nazwał znamiona wielkości wewnętrznej europejskich intelektualistów katolickich, którym dogmaty nie zamknęły oczu na żywy, dziejący się świat. I proszę zauważyć, że „Kuźnica" na łamach pism katolickich często spotyka się z zarzutem ortodoksji i nietolerancji! Intelektualiści katoliccy we Francji nie są marksistami, mimo, że skłaniają się ku pewnym tezom marksizmu w zakresie teorii społeczeństwa i mimo, że emocjonalnie są po stronie rewolucji ludowej. Nie są marksistami — lecz obóz lewicy polskiej nie dzieli ludzi na marksistów i zdrajców. Nie są marksistami — lecz polski Obóz Reformy widzi sprzymierzeńców wszędzie, gdzie rozsądek każe rezygnować z raz zajętych pozycji doktrynerskich z chwilą, gdy rzeczywistość zaczyna im przeczyć. Oto nasza ortodoksja.

Być może, iż — laikowi z myśli i tradycji — katolicki intelektualista poczyta mi za nietakt, jeśli wskażę cytowane ustępy z „Esprit", jako jasnowidzący manifest, wydany przez myśl chrześcijańską w trosce o dobro nie tylko społeczeństwa świeckiego, ale i Kościoła. Powiedzą mi pewnie: patrzcie, jak to wolterianie pragną ratować Kościół katolicki! Ale ja odpowiem, że nie należy się z tego wyśmiewać. Z dawnych doświadczeń wyniosłem pamięć o instytucjach równie potężnych. Wiem, że budowle wyrosłe z wielkich koncepcyj duchowych zaczynają się chwiać z chwilą, gdy dbają o całość swych tylko materialnych konstrukcyj; z chwilą, gdy przestają wytwarzać dobra duchowe sprzymierzone z rozwojem ludzkości. W tej sytuacji może się dziś znaleźć hierarchia Kościoła katolickiego w Europie. Czujna na całość swych wiązań, na nienaruszalność swoich interesów i zasad organizacyjnych — może nie dostrzec przemian bieżącego czasu, które czynią anachronizm z jej wewnętrznego ustroju, z jej doktryn o człowieku, społeczeństwie i państwie. Czemu się dziwić, że postępowy inteligent europejski naszych lat nie dostrzeże w obronie małżeństw kościelnych nic więcej, jak walkę o utrzymanie dochodów plebanii. Nikt go nie zdoła przekonać, że związek dwojga ludzi zawarty przed urzędnikiem świeckim koliduje z moralnością europejczyka. Nie trzeba być wyznawcą materialistycznej filozofii, aby wątpić w tym punkcie nauki kościelnej. Czy dobro katolicyzmu leży więc w obronie podobnych pozycji. Czy mądrze czyni Kościół nie chcąc od niej odstąpić? Nazywając dezerterami tych, którzy dostrzegli inne?

Po znanej krakowskiej dyskusji między pisarzami lewicy a pisarzami katolickimi bezstronny obserwator powiedział: „Wiele można by zrobić, bo i tu i tam są ludzie czystych intencyj. Ale z tamtymi kończy się wszystko na szczerej wymianie zdań. Nic nie mogą przedsięwziąć. Są jakby sparaliżowani, czuje się za nimi wszechobecny cień kleru".

Nie należy takich zdań lekceważyć, bo nie wyszły z ust wroga Kościoła. Ale cień kleru zbyt często był w dziejach Polski niedobrze wróżącym cieniem, aby zależność polskiej inteligencji katolickiej od hierarchii kościelnej mogła nie wzbudzać obaw. Jest jasne, że postęp myśli katolickiej może dziś wyjść w Europie przede wszystkim z kół świeckich intelektualistów zgrupowanych wokół Kościoła. Nie dawno jeszcze trzeba tam było, jak brat Albert, narzucić habit, aby realizować w życiu społeczną myśl chrześcijańską. Przykład Edwarda Mounier we Francji, przykład postępowych działaczy katolickich w Polsce — świadczy, że czas zmienił się o tyle, iż dzisiaj myśl chrześcijańską może kształtować świecki intelektualista, katolik, postępowiec. Czy oznacza to walkę z hierarchią kościelną? Na pewno nie!

Ale publicystyka w pismach katolickich w Polsce zbacza ostatnio na tory, leżące poza traktem rozwoju postępowej myśli chrześcijańskiej, traktem wytyczanym coraz jaśniej w wielkich dyskusjach społeczno-teologicznych na Zachodzie Europy. Publicystyka ta porusza problemy nieraz dziecinne i zawieszone w próżni. Oto w tym samym „Tygodniku Powszechnym" wybucha polemika między J. P. a W. Kętrzyńskim na temat, czy ONR należy uznać za ruch katolicki dwudziestolecia. J. P. jest zdania, że ONR-u nie należy uważać za ruch katolicki i wytacza na poparcie dwa zasadnicze argumenty: że ONR nie był ruchem katolickim, bo dążył do monopartyjności i że nie był ruchem katolickim, bo w swej koncepcji państwa zbyt małe miejsce wyznaczał hierarchii kościelnej. J P. prostuje więc: „ONR nie był ruchem katolickim w ścisłym znaczeniu".

Ideologia ONR-u jest dobrze znana. Jej naczelnym hasłem był antysemityzm. Z rąk ONR-owców ginęli ludzie żydowskiego pochodzenia. Dziś jeszcze słowo „ONR" czy „Falanga" kojarzy się z kastetem bojówkarza rozbijającym „niearyjską" głowę. Ale widocznie w pojęciu J. P. antysemityzm i rasizm nie są sprzeczne z nauką Kościoła, bo tych argumentów wcale nie wymienia w swej polemice z p. Kętrzyńskim. „ONR nie był ruchem katolickim w ścisłym tego słowa znaczeniu" — pisze J. P. — „był ruchem narodowym". A więc, gdyby ONR wyrzekł był się monopartyjności i w szerszej mierze uwzględnił interesy Kościoła — byłby ruchem katolickim w ścisłym znaczeniu...

A gdyby Hitler wyrzekł był się monopartyjności, wyrzucił protestantów z partii i zrobił pakt z biskupami — również nazizm byłby ruchem katolickim! Mój Boże, doczekaliśmy się. Rzecz to smutna, że po męczeństwie Żydów europejskich w czasie ostatniej wojny tak trudno dziś w Polsce wyrwać z ust niektórych publicystów — słowo potępienia dla antysemityzmu.

Powtarzam — nie są to problemy współczesnej myśli chrześcijańskiej w Europie. Powstydziłby się ich Emanuel Mounier i jego grupa. Są to problemy pokrętne i wiszące w podejrzanym powietrzu. A jednak nie porzuca ich się. A jednak wciąż zajmują miejsce w polskich pismach katolickich. „Dziś i Jutro" ostatnio znów chwyciło się za obronę i odczyszczanie z plam niesławnej pamięci ONR-u. Po co? Dla kogo? Przeciw komu? Cóż może wyniknąć dobrego dla postępowej myśli katolickiej z wybielania oburącz najciemniejszych kart polskiego faszyzmu?

Kandyd

Koty

Na wszechnicy Jagiellońskiej

Z wydanych niedawno podręczników dla trzeciego roku prawa:

1) Ścisłość podawanych wiadomości.

Z książki Prof. Fryderyka Zolla, p. t. **„Prawo Cywilne"**, opracowanej przy współudziale dra Adama Szpunara docenta U. J.,

Na str. 41 w ustępie — „Źródła norm prawnych od 1939 r." — czytamy:

„W miarę usuwania Niemców z Polski, obejmował rządy w Polsce „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego", który zawiązał się w Lublinie w lipcu 1944 roku, P. K. W. N. objął 15 sierpnia 1944 roku także władzę ustawodawczą, po czym powołał do życia „Krajową Radę Narodową", mającą spełniać tymczasową funkcję parlamentu Narodu Polskiego".

2) Demokracja i dusza.

Z książki p. t. „Prawo administracyjne"— opracowane według wykładów profesorów U. J.: — Wachholza i Langroda — (na prawach skryptu) wydało: „Archiwum Skryptów", Kraków, Starowiślna 24.

Na str. 38 i 39 czytamy:

„Demokrację dadzą nam nie ustawy pisane, ale przemiana dusz, takie ich rozszerzenie, aby mieściły w sobie tę całość i jedność, którą nazywamy państwem. Demokracja jest wynikiem długiego procesu. Osiągnęło ją też dotychczas tylko niewiele państw, a w przeważającej liczbie państw panuje tylko pozór demokracji. Niech nam nie mówią o demokracji ci, którzy zabezpieczają pod jej hasłem interesy swoje a nie państwa. **Demokracja tkwi w duszach, urządzenia polityczne są wyrazem tego, co tkwi w duszy".**

3) A co tkwi w duszy?

(Str. 44). „Należy stwierdzić, że społeczeństwa znajdują się obecnie w epoce tendencji ku nacjonalizacji, a więc ku wywłaszczeniu. Nie sądzimy, aby tendencja ta wydała trwałe i pomyślne rezultaty, a to z tego powodu, że wskutek nowożytnej zależności międzynarodowej gospodarki nie można mówić o powodzeniu nacjonalizacji w jednym tylko państwie. Rozumieją to doskonale Sowiety i dlatego, zmieniwszy z gruntu swój program polityczny i ekonomiczny, zaznaczają ciągle, że trwają przy swoich zasadach ale urzeczywistnienie ich muszą odłożyć aż do zwycięstwa rewolucji światowej. Na naszą reformę rolną, polegająca na wywłaszczeniu należy zapatrywać się w ten sposób, że reforma rolna jest koniecznością, ale powinno się ją tak przeprowadzić aby konieczność tą uznawało społeczeństwo nie tylko pewna warstwa". Teraz już wiemy co tkwi w duszy...

Jkap.

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju czyli skrzydlaty złoczyńca

W nr 13 „Österreichische Rundschau" znajdujemy wiersz poety austriackiego, Waltera Gynta: „Mewy nad Szwedzkim Mostem". Wiersz ten do złudzenia przypomina drukowany przed kilkoma tygodniami w „Kuźnicy" (nr 9) wiersz St. Leca: „Mewy w Wiedniu". Jeśli dobrze pamiętam, to „Dziś i Jutro" atakowało właśnie za ten wiersz Leca, twierdząc, że nie dostrzega on dzisiejszego Wiednia. Wiedeńczycy są innego widać zdania. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. **sz.**

Kant i chrystianizm polski

W „Tygodniku Warszawskim" nr 12, w artykule Jerzego Brauna czytamy: „Choć protestant, nie był Kant wcale tak daleki ideom św. Tomasza z Akwinu, przeciwnie, żył on pod obsesją absolutnego prawa moralnego, może dlatego, że doktryna jego powstała w Królewcu, w kręgu kultury polskiej, do głębi schrystianizowanej". W artykule p. Braun wykazuje, że Niemcy zawsze odrzucali istotę chrystianizmu, lecz z cytowanego zdania wynika po prostu, że protestanci nie są chrześcijanami. Czyżby protestantyzm był poganizmem? Lecz sprawa nie na tym się wyczerpuje. Zgadzam się, Prusy Wschodnie to polski krąg kulturalny. Świadczy o tym artykuł Zbigniewa Przygórskiego w świątecznym numerze „Odrodzenia". Lecz cóż się okazuje? Mianowicie, że ta kultura polska Prus Wschodnich to przecież kultura polskich protestantów. Jakie druki reprodukuje „Odrodzenie?" Postylle, kancyonały i gazety dla ludu ewangelickiego. Kim byli Seklucjan, Rey, Dombrowski i inni, wymienieni przez Przygórskiego pisarze polscy? Protestantami.

Całkiem słusznie wysiedlono ewangelickich Mazurów, którzy wychodząc trzymali w rękach polski kancyonał Wasiańskiego, książkę, której jak pisze Przygórski, zawdzięczamy przetrwanie mowy polskiej na Mazurach. Przecież Polakiem może być tylko katolik. Nieprawdaż p. Braun? **J. S.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki czwartki soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D-015555 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

JAK ZAPRENUMEROWAĆ
»Kuźnicę«
Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII. - 567 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny.
PRENUMERATA
łącznie z przesyłką wynosi:
miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed kilku tygodniami użyczyłem „Kuźnicy" — ex monumentis meis naufragio eruptis — fotografii z wileńskiej szopki akademickiej z r. 1939 do reprodukowania jej przy artykule Ryszarda Matuszewskiego o „Rzeczywistości" Putramenta. Do fotografii sam dorobiłem podpis, który został ściśle i wiernie przez „Kuźnicę" przedrukowany. W podpisie uwzględniłem trzy tylko osoby spośród sześciu, figurujących na zdjęciu — mianowicie: Putramenta, Miłosza i Godziszewskiego jako autorów owej szopki, pominąłem trzy pozostałe, których rola polegała na prowadzeniu kukiełek i recytowaniu tekstów.

W Nr 15/84 „Kuźnicy" ukazał się list do redakcji, podpisany przez p. Edwarda Binkiewicza (Pasłęk, woj. Olsztyńskie), w którym to liście p. Binkiewicz — „serdeczny (jak pisze o sobie) przyjaciel z lat studenckich" Dembińskiego — w sposób rzewny zwraca uwagę na „przeoczenie popełnione przez autora podpisu pod fotografią", a polegające na tym, że nie wymienił „natchnionego trybuna i cudownego człowieka", tj. Henryka Dembińskiego, stojącego na fotografii obok Putramenta: niby że tak — „słona to on nie primietił". Niestety, pobocznikiem Putramenta na fotografii jest śp. Leon Szreder, świetnie zapowiadający się poeta, któremu właśnie Jan Huszcza poświęcił króciutkie wspomnienie w Nr 2 „Nowin Literackich".

Pozostaje mi wyrazić zdziwienie, że „serdeczny przyjaciel z lat studenckich" zapomniał twarzy swego przyjaciela. Ale medycyna stwierdza, że wstrząsy wojenne wywołały u wielu ludzi zaburzenia pamięci.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku.

Jerzy Wyszomirski

Łódź, dn. 10.4. 1947.

MIKUŁKO NIE HUSZCZA

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Jerzy Wyszomirski w felietonie swoim zamieszczonym w 15 numerze „Tygodnia" zawierającym uwagi na temat powieści J. Putramenta pt. „Rzeczywistość" suponuje, że występująca w powieści tej epizodyczna postać poety nazwiskiem Pilawko związana jest z osobą satyryka i poety Jana Huszczy występującego wówczas niekiedy pod nazwiskiem Olechno. Wydaje mi się, że zachodzi tu wyraźna pomyłka w adresie, ponieważ każdy, kto jako tako zna stosunki wileńskie, łatwo może się zorientować, że w tym przejrzystym roman á clef postać Pilawki — ma swój prototyp nie w osobie Huszczy, lecz o wiele bardziej znanego w tym czasie na gruncie wileńskim, obecnego redaktora „Dziennika Łódzkiego" dr Anatola Mikułki.

Pozostaję z poważaniem

T. Wróblewski

Warszawa.